



3

1911





P. I. - 685

**NOWOROCZNIK**  
**SIEDLECKI**  
**NA ROK**  
**1873.**



**SIEDLCE**  
w Drukarni Aleksandra Ryllé.



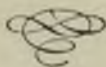
**NOWOROCZNIK**  
**Siedlecki.**





**NOWOROCZNIK  
SIEDLECKI.**

**NAKŁADEM I POD REDAKCYĄ  
ZYGMUNTA ZANOŻYŃSKIEGO.**



**SIEDLCE**

w Drukarni Aleksandra Ryllé.

—  
1873.

Дозволено Цензурою  
Варшава 10 Ноября 1872 года.



P. I. 685

## DO CZYTELNIKA.

Szanowny czytelniku i nadobna czytelniczko! zanim pogrzebiecie w popiele zapomnienia ten stary, biedny 1872 rok, zechciejcie przyjąć od niego podarunek, nie szumny, nie błyszczący ale tylko taki Noworocznik, na jaki mógł się zdobyć rok ubiegły w Siedlcach.

Że nie zdobył się na tyle, na ile by powinien nie wątpimy ani na chwilę, zarówno jak i otem, że nie nasza w tem wina a . . . . roku, który nie bez przyczyny na wstępie zaraz nazwa-  
liśmy biednym. My mamy wiele do powiedzenia na swoją obronę: noworocznik który raczycie trzymać w swych rączkach redagowaliśmy z gorączkowym pośpiechem (mieliśmy tylko tydzień do rozporządzenia). . . . .

Może to zarozumiałość z naszej strony, może to czelność w wysokim stopniu, takie otwar-

te spodziewanie się czegoś dobrego, ale cóż robić, inaczej nie możemy.

Ostatecznie, po co tam rzeczy obwijać w bawełnę, przebaczyłeś nam dobrodzieju chudzinę noworocznika, skoroś go kupił i basta, cała wina pada na ten szkaradny, obrzydliwy, nieprzyzwoity, obdarty i zaplakany 1872 r.

Ale, ale, . . . podobno wam szan: czytelnicy mówiono już o nas i naszej działalności to i owo?

Niewierzcie! jesteśmy ofiarą najczarniejszej potwarzy! Jeżeli dotknęliśmy to zawsze błędy i wady mass, a nigdy jednostek, wreszcie najrzetelniej was zapewniamy, że to nie o was mowa prędzej chyba o waszych sąsiadach i sąsiadkach, dla nich jesteśmy bez litości, ale dla czytelników zawsze byliśmy, jesteśmy i będziemy pełni szacunku a nawet głębokiej czci i poważania. Kto zaś będąc bez winy znajdzie coś przeciwnego swoim przekonaniom i nawyknieniom, niech na nas pierwszy rzuci brukowym kamieniem. Nie mamy wreszcie bynajmniej zamiaru uderzać po stołach i słuchać co się tam odezwie, bo w ogóle jesteśmy przeciwnikami przysłowia, wtenczas kiedy go sami nie cytujemy. Powie ktoś że to ostatnie zdanie trąci przewrotnością, bynajmniej. Oto dla czego: jeżeli ktoś przeciwko

wam wymierzy jakie przysłowie natychmiast mu powiedzcie: » gdzie niema myśli, tam jest przysłowie; kiedy sami go użyjecie, mówicie w tej że chwili ze stosowną powagą: przysłowia to mądrość narodów; Ta doskonała zasada przyjęta już przez całą prassę Warszawską.

Pozwólcie sobie dalej złożyć życzenia przy zbliżającym się Nowym roku, który musi przecie być cokolwiek lepszym, jeżeli tylko nie gorszym.

Nakoniec, rekomendujemy wam ów Noworocznik, z którego okazji tak długo i szeroko mamy już zaszczyt z wami gawędzić, raczcie tylko łaskawie przewrócić kartkę i czytać.

*w Siedlcach dnia 10 Listopada 1872 r.*





# KRONIKA

Miasto nie do poznania, postępujemy naprzód, co za ulepszenia w ostatnich kilku latach! mamy resursę, co rok, a nawet parę razy do roku, zjeżdża teatr, koncerta, zabawy w ogrodzie, mamy aż dwa wirydarze, domy murowane wyrastają jak grzyby po deszczu! Czyż to nie jest dowodem dobrobytu? czyż nie zgadzamy się z duchem czasu?! Takie wołania słyszę co chwila. Zapewne. Chodniki asfaltowe, zewnętrzne upiększenia miasta, dobrym są dowodem troskliwości naszej władzy; ale czy z naszej strony robimy choć cośkolwiek coby zasługiwało na pochwałę? ale czy kronikarz w wewnętrznym naszym życiu znajdzie choć najdrobniejszy fakt do zanotowania? Szkaradna pustka, przerażające nic.

Kiedy Zwierzchnicy miasta z niezmordowaną gorliwością zabraniają nam stawiać budy rażące każde estetyczniejsze oko, kiedy wprowadzają w wykonanie ustawy dotyczące bezpieczeństwa higienicznego, kiedy dbają o czystość i porządek, te podstawy urządzeń miejskich, ileż to rozlega się sarkazmów na ucisk, zbyteczne ciężary i. t. d.

Nasze życie, nasze zwyczaje i pojęcia czy postąpiły choć o parę kroków? a jakże wołają prowincjonalni optymiści, czegoż to nam brak? wszystkiego oprócz zaręczliwości.

Słyszę pioruny nad głową za gorzkie słowa prawdy i dla tego popieram je dowodami.

Nie żyjemy i nie myślimy: Gubernija Siedlecka w ogóle a miasto Siedlce w szczególności, jest okolicą jedną z najbiedniejszych w kraju. Ziemia nie może dawać tych procentów, które z niej wybierają gdzie indziej. Handel, to jest właściwie powiedziawszy kramarstwo, w rękach nienawistnych nam żydów. Przemysł nie istnieje. Obywatele albo tak są biedni że ledwie wyżyć mogą, albo też są to najzacofańsi w świecie kapitaliści; ich kapitał gorzej niżby nieistniał, dozwala im bowiem gnuśnieć w próżniactwie nieprzynosząc drugim nic, a raczej przynosząc im szkodę. Miasta zamieszkują sami prawie urzędnicy, z których trzy czwarte siedzi w rękach żydów. Od lat kilkunastu, więcej powiem, kilkudziesięciu dzieje się toż samo bez żadnej odmiany. Czyż to takie mają być dowody naszej działalności, naszego życia? Uderzmy się w piersi. Czy założyliśmy chociaż jedno stowarzyszenie spożywcze lub produkcyjne? Czy wreszcie nawet mamy pojęcie wszyscy o wspólnej niedole i jarzmie jakim jest zacofanie? Mamy przecie w mieściii ludzi, którzy w krótkim czasie porobili majątki, są tacy, którzyby mogli i powinni stanąć na czele jakiegokolwiek przedsięwzięcia. Czy stanęli? Czy pomyśleli choćby raz w życiu że ich sąsiad lub kolega kłania się i poniża przed żydem, czy chcieli poznać że ten człowiek byleby mu podać rękę, wskazać środki którymi może zdobyć dobrobyt i przykładem zmusić do pracy odplaciłby się podobną monetą?



Patrząc na obrzydłe uśpienie, na beczynność gorzącą, trudno nawet pomyśleć że niektórzy z tych ludzi posiadają wykształcenie, znają obowiązki człowieka względem społeczeństwa i niechęć ich wypełniać. Ci ludzie mają znaczenie i stosunki, mogliby przewodniczyć innym to coby wyszło z ich inicjatywy było by przyjętem, a jednak . . . grają w bezika, przepędzają czas u Mali, Esterki lub jeszcze gorzej.

Powodem do tego jest rozdział koteryjność i prawdziwie mało miasteczkowy tryb życia. Są ogniska familijne, a niemamy ognisk towarzyskich.

Idźmy dalej. Nie żyjemy i nie myślimy, bo gdyby było inaczej, to mając przed oczami najsmutniejsze jakie być mogą widoki powtarzających się peryodycznie straszliwych pogorzeli Siedlec, w których połowa miasta na to bywa wydawaną pastwie płomieni, aby lat kilka lub kilkanaście zdobywać sobie zniszczone budowle, zastanowilibyśmy się i pomyśleli o straży ogniowej, Kalisz prawie całkowicie jest murowany a od lat paru ma już z Obywateli złożoną ochotniczą strażogniową. Lublin już o niej pomyślał, Kielce i inne miasta podobież. Większa połowa naszego miasta jest z drzewa, ale my przeczekamy jeszcze kilka nowych pożarów a o łączeniu się i zobopólności młodzieży nie pomyślimy. Jeżeli tylko zizolowane kółka mają się połączyć, to na to nigdy nie przystaniemy.

Nie żyjemy i nie myślimy, bo wysilamy się na mówki tam gdzie rzecz idzie o butelki, a nie jesteśmy w stanie trzech słów powiedzieć o palących potrzebach współmieszkańców. Nie żyjemy i nie myślimy, bo nasze dzieci wyglądają blade, chorowite, a my zamykamy je w domu narażając na najgorsze jakie być może towarzystwo służących

bronimy spaceru, słowem zabijamy fizycznie w tej myśli że wykształcimy genialnych myślicieli, a gdy rok po roku rozwieje zasłonki różowych illuzyi nas nawet nie zadziwi że są kancellistami. Nie żyjemy i nie myślimy bo nasze córki nie czytają nic oprócz romansideł Dumas'a nie zdolne do innej rozmowy jak o kochaniu i miłości. Nie żyjemy i nie myślimy bo większość Obywateli nie ma pojęcia o innym gospodarstwie jak trzy połowe a założenie innej fabryki jak cegielnia lub gorzelnia, jest dla nas utopią i. t. d.

Nie mając tym sposobem żadnych faktów z życia wewnętrznego Gubernii ani miasta zanotujemy zewnętrzne jego objawy:

W dniu 31 Maja położono kamień węgielny pod mający się wybudować przy ulicy Warszawskiej gmach Dyrekcyi Szczegółowej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Siedlcach. Dotychczas bióro o którym mowa mieściło się w domu własnym przy ulicy Długiej, lecz okazała się potrzeba wzniesienia okazalszej budowy a to ze względu zbyt szczupłych rozmiarów starój. Anszlag wynosi 39000 rs. nie licząc w to kosztorysu budowy zabudowań. Plan sporządził P. Ankiewicz a wykonanie powierzono P. Modrzewskiemu. Jak widzieć można z frontowej elewacyi planu, nowo budujący się gmach będzie ozdobą Siedlec; całkowiec ma być ukończonym w dniu 1 Lipca r. p. Parter składać się będzie z dziesięciu pokoi we froncie i dwóch w oficynie, na pierwszym piętrze ma być jedenaście pokoi i dwa w oficynie.

Przed gmachem Rządu Gubernijalnego urządzo-  
nym został wirydarz, na którym postawiono ławki na że-

laznych podstawach, byłoby do życzenia, aby takiemiż zastąpiono ciężkie i niewygodne ławy drewniane znajdujące się w ogrodzie Aleksandryjskim.

Na samym skwerze w miejscu gdzie przed kilkunastu laty istniał kompas postawiono kamienną statywę do nowego, który jednak przed zimą jak wnosić można urządzonym nie będzie; kompas ten posiadać będzie armatkę, która wystrzałem oznajmiać ma mieszkańcom miasta godzinę 12 podług Siedleckiego południka.

W Listopadzie r. b. rozpoczęto asfaltowanie chodników na ulicy Floryańskiej, Prospektowej i Warszawskiej (po drugiej stronie), roboty te w krótkce będą ukończone.

Ratusz starożytnej budowy ma być odnowiony w roku przyszłym. Całe dwa piętra, które groziły zawaleniem będą zdjęte i w zupełności tak samo odbudowane, gdyż w tym celu powierzono jednemu ze zdolniejszych naszych Budowniczych zrysowanie planu.

Od paru miesięcy rozklejaną jest w mieście naszym po rogach ulic gazeta anonsowa myśl pożyteczna, dotąd bowiem wszelkie ogłoszenia pociągały za sobą wiele kosztów, obecnie zaś za małą opłatę można mieć tę jeszcze korzyść, że nietylko w Siedlcach ale i winnych miastach ogłoszenie jest publikowane.

Jest projekt oświetlenia miasta gazem. Fabryka gazowa dla mniejszych miast nie wymaga tak wielkich nakładów jak to powszechnie utrzymują nieprzyjaciele nowości; nowo wynaleziony aparat do otrzymywania gazu oświetlającego D-ra Hirzla dałby się u nas zastosować tem bardziej że nie mamy w bliskości kopalni węgla kamiennego. Tylko potrzeba nie odkładając do jutra zebrać pod-

pisy Obywateli miejskich i właścicieli sklepów, obliczyć liczbę płomieni i z tąd możebne zyski, dodać do tego sumę z podatku latarniowego którą zapłacić może kassa miejska, wyrachować potrzebny nakład i zaprosić przedsiębiorców do wprowadzenia w czyn opracowanego tym sposobem projektu. Przy dobrej woli nie byłoby to rzeczą trudną gdyby tylko nie oglądając się na innych ktośkolwiek z rozprawiających dziś o tem wziął się do dzieła.

Przy kopaniu fundamentów pod dom P. Orła przy ulicy Warszawskiej znaleziono kości człowieka pochowanego przed *kilkunastu ledwie laty* a zatem już po wystawieniu domu po którego rozwaleniu kładziono fundament. Pokazuje się więc że i nasze miasto miało swoje dramata, gdyż wykopany szkielet musiał należeć do człowieka zamordowanego, niepodobna bowiem przypuścić aby w środku miasta w tak niedawnym czasie był cmentarz.

W dniu 14 Czerwca zjechało do Siedlec Towarzystwo dramatyczne pod dyrekcją p. Z. Sarneckiego i Texla i dało pomimo zapowiedzianych 12-u dziesięć tylko przedstawień. Dla czego dziesięć? bo to był teatr wystawiający sztuki nowe i posiadające istotną wartość; bo nie dawano Ralfów, Studni artezyjskich i. t. p. karczemnych efektów. Przedstawienia rozpoczęto od Pracowitych próżniaków Bałuckiego, po czym nastąpiły: Nasi najserdeczniejsi, Mentor, Frufu, Księżna Jerzowa, Consilium facultatis, Florina, Broń niewieścia, Apetyt i zaloty, Wesele w Ojcowie, pierwszy akt Pięknej Heleny i. t. p. P. Texel we wszystkich rolach grał z dokładną znajomością i pojęciem odtwarzanych charakterów. Siedlce nie widziały jeszcze lepszego artysty. O p. Waliszewskim powiedzieć możemy iż praca jego wydaje pomyślne rezultaty, widać

w nim obycie się ze sceną i zamilowanie ale widać także i zdolność, oraz z natury już dane warunki sceniczne, role mu powierzone odgrywał sumiennie. P. Prochazka wiele ma materiału który przy umiejętnym zużytkowaniu może wydać obfite plony. P. Brandt zasługuje także na pochlebną wzmiankę ilekroć występował w rolach charakterystycznych. O p. Holtzmanie wolelibyśmy zamilczeć, znając go bowiem z występów u p. Ratajewicza przed paru laty spodziewaliśmy się postępu lecz . . . . zawiedliśmy się.

Pani Czapska „Ozdoba teatru” jak się wyrażano zdołała wzbudzić ogólne uznanie i zajęcie. Czy słusznie? zastanówmy się nad grą tej artystki: że grała lepiej od innych ani słowa, ale czy dobrze? były sceny oddane dokładnie, lecz często widzieliśmy lekkomyślne traktowanie roli nad którą warto było popracować; taką była Frufru przez wszystkie akty. Najwybitniejszą wadą której przy pracy mogłaby się pani C. pozbyć jest dykcya. P. C. ma zwyczaj mówić prędko i jednostajnie a przecież w takiej Księżnie Jerzowej lub Mentorze były sytuacje polegające prawie w zupełności na właściwej modulacyi głosu. Grę namiętności i uczuć niekoniecznie zawsze udało się p. C. na swęj twarzy wyrazić, nie zapomnimy nigdy tej sceny z Mentora kiedy Wacław karze kokieterę Wandy Łoniewskiej pocałunkiem; niewidzieliśmy ani gniewu, ani wstydu, ani obrażonej godności niewieściej, a po prostu przestkach podobny do bojaźni dziecka na widok różgi. W Naszych najserdeczniejszych p. C. zdawała się zupełnie nie zrozumieć swojej roli. Na szczęście do innych ról przez nią oddawanych nie da się to zastosować, granie były z wdziękiem i umiejętnością. P. Heneman ustępująca może nieco pani Czapskiej pod względem warunków

scenicznych przewyższa ją w grze opracowanej dokładnie i z prawdziwym zrozumieniem rzeczy. Pani Holtzman chociaż w podrzędnych rolach nie wiele przedstawiała do życzenia. P-na Macharzyńska zachwycała amatorów miernego śpiewu.

Ze smutkiem zaznaczyć musimy iż Towarzystwo Dramatyczne Lubelskie nie bardzo zadowolone opuszczało Siedlce, nie wielką można mieć nadzieję aby nas zechciało powtórnie odwiedzić.

Mówiąc o teatrze godzi się wspomnieć o dwóch przedstawieniach amatorskich danych przy końcu Marca i w Maju. Trudne to było zadanie wprowadzić w czyn podobną myśl w Siedlcach w obec powszechnej ociężałości i antagonizmu ku wszystkiemu co nowe. Dość przytoczyć ten fakt że żadna z dam nie chciała podjąć się roli a przy wielkich wysiłkach zdołano ledwie dobrać personel. Nic dziwnego że i dobór komedyjek nie mógł być wybornym w obec tak przeciwnych warunków. To też prawdziwą wdzięczność czujemy dla Prezydenta miasta W. D. jego bowiem staraniom przy spółudziale p. p. Modrzewskiego i Monikowskiego zawdzięczamy wykonanie tej pożytecznej myśli. O dobrem wykonaniu ról nie może tu być i mowy. W każdym jednak razie gra pani Kor. kilkanaście już razy co prawda przyjmującej udział w teatrach amatorskich była prawdziwą ozdobą, toż samo dało by się powiedzieć o p. Modrzewskim i Monikowskim. Co do reszty wolimy zamilczeć to tylko na usprawiedliwienie podając że przy częstszem powtarzaniu przedstawień wiele można zrobić nawet na najbardziej jałowym gruncie. Pierwsze przedstawienie składało się z komedyjek: Piękne za nadobne, Cicha woda brzegi rwie, i Nikt mnie nie zna, na drugim reprezetowa-

no powtórnie Cichą wodę i Consilium facultatis. Publiczność licznem zebraniem się zrozumiała cel i myśl piękną a amatorów powinno by to przecie zachęcić do nowych prób na téj drodze. Gdzie idzie o otarcie łez sierocych, o podanie ręki upadającemu pod brzemieniem nędzy lub braku środków do nauki nikt nie ma prawa odmówić swój pomocy. Zechciéjmyż to choć raz zrozumieć. Falszywa skromność powinna ustąpić tam, gdzie idzie o spełnienie obowiązku.

W d. 25 Października panna Wanda Miller Czechowska w przejeździe do Moskwy dała koncert składający się z jednej części a 6. numerów, z których dwa wykonane były w języku polskim. Wszystkie miejsca były zajęte. Nieh uważamy za stosowne oddawać pochwały, dość powiedzieć że stanowił on dla Siedlec nową erę.

Oprócz tego mieliśmy kilka jeszcze koncertów, lecz wspomnimy o jednym, który zasługuje na uwagę tak pod względem doboru numerów i urozmaicenia jak i zarówno pod względem wykonania. Mamy na myśli koncert p. Leonida Gillewicz ze współudziałem amatorów. P. G. jest miłym barytonem który z przyjemnością da się słuchać. Brak mu pewnej wprawy, niektóre nuty atakował z niepewnością i nie śmiało, ale pozbyć się tych usterek cóż łatwiejszego. Byłoby do życzenia aby p. G. zechciał częściej jurządać podobne koncerty.

Deklamator niejaki p. Lewaszew, dał kilka przedstawień w języku ruskim, które jednak niepowiodły się tak jakby się należało spodziewać, co jak się zdaje spowodowała jednostajność programów.

W początkach Kwietnia Z. Zanożyński miał pierwszy odczyt „O potrzebie życia towarzyskiego” z którego dochód ofiarował na korzyść wstydzających się żebrać, oraz 1. Maja drugi „O stanowisku kobiet w społeczeństwie.” Odczyty te licznie były uczęszczane, co głównie przypisują przystępności ceny.

W powiatowem mieście Biała dawano dwa razy teatr amatorski. Jak nam donosi nasz korespondent, były to jedne z najlepiej wykonanych reprezentacji amatorskich. Śmiano się do woli, a czegoż więcej potrzeba dla teatru amatorskiego; nigdy nie powinniśmy zapominać, że mamy przed sobą amatorów a nie artystów; nie idzie tu o wykonywanie areydział sztuki ale wprost o zabawę, o śmiech serdeczny, o zespolenie rozdzielonych mieszkańców w obec dobroczynnego celu.

Już to w ogóle miasta prowincjonalne wyprzedzają Siedlce, które nie umieją się nawet z tego powodu rumieć: w Łukowie bywają wieczory, gdzie zbiera się całe miasto i okolica, urządzają tam wspólne majówki i zabawy a my nie chcemy nawet o tem pomyśleć.

Bo pytanie dla czego nie zdobyliśmy się w r. b. na fantową loteryę lub zabawę kwiatową? Lato minęło, a nam nawet przez myśl podobna zbrodnia nie przeszła. Nie obawiamy się zbytnio, wszak to nie żadna praca, możemy nie łamiąc tradycyi wprowadzić ją raz na zawsze i co rok powtarzać u siebie. Każde większe miasto ma jakąś uroczystość letnią, a my, że nie mamy rzeki i wianków S-to Jańskich, ale mamy kolój, ot na cześć otwarcia kolei, wartoby urządzić jakąś zabawę, z której dochód poświęcać dla ubogich chłopców wstępujących do fabryk żelaznych,



Niektórzy panowie w cielećym zachwycie na świst lokomotywy umieją palić czarujące mówki, niechże więc uczczą tę lokomotywę która nas z Warszawą zbliżyła, ale nie w taki sposób aby tylko handle win skorzystały, Niechże się i biednym coś dostanie.

Z pomiędzy licznych akrobatów, siłaczy, szybko-biegaczy i skoczków. zaznaczamy p. Hermana Calioastro, który w dniu 1 i 2 Września w sali resursy dawał przedstawienia sztuk kuglarskich po cenach niesłychanie wygórowanych.

„Gdzie djabeł niemoże, tam kuglarza poszle.” Tą razą chętnie przystajemy na przeróbkę przysłowia przez francuskiego pisarza dokonaną, mając przed oczami smutny fakt do zanotowania. Niech się tylko pojawi jaka panorama z podarkami, figury woskowe lub zaczarowane ptaki, aliści tłumy łaskawej publiczności wszelkich stanów biegną zachwycać się i uwielbiać znakomitego szarlatana co zaniechawszy czyszczenia butów nad Elbą lub Spreą, poczuł w sobie wyższe natchnienie i talent do wyłudzenia złotych w nadwiślańskim kraju. Byliśmy świadkami jak ludzie z klasy niższej i robotnicy próbując szczęścia na loteryi, która dość długi czas exploatowała, łatwowierność Siedlezanów przy ulicy Warszawskiej w przeciągu paru godzin tracili całe miesięczne zarobki wychodząc z lusterkiem lub szczoteczka za 5 kop. w rękę. Czas by nam się już raz pozbyć także szybkobiegaczy lub olbrzymów, którzy przez całe prawie lato w najpiękniejsze dni zajmują jedyny nasz ogród Aleksandryjski, nie pozwalając spaceru, trudno bowiem przypuścić, aby ktośkolwiek znajdował przyjemność w przepychaniu się

wśród odrażającego kurzu pomiędzy gawiedzią niedzielną, żądną podobnych przedstawień. Czy nielepiej byłoby widowiska urządzać *na placu musztry* lub *za miastem*? Czy wreszcie nie możnaby wynaleźć szlachetniejszej zabawy dla ludu?

„Vanitas vanitatum et omnia vanitas” mów ipso swojemu nasz rzemieślnik włościanin lub służący i . . . . otwiera drzwi do szynku. Okropność! zabawy odbierają mu pieniądź, karczmy zdrowie. A mnożą się teteż zakłady pod pawiami, lokomotywami, samowarami i. t. d. do nieskończoności. Słyszeliśmy iż w domu nowowymurowanym przy ulicy Warszawskiej oprócz już istniejącego szynku, miał być założony jeszcze drugi. Horendum a toż po drugiej stronie ulicy w dwóch domach vis a vis jest już trzy szynkownie. W Siedlcach jest około 500 domów a kto wie czy nie połowa tyle karczem licząc w to Esterki, Male, Wólfy et Comp. zarówno jak i herbaty alkoholowe za Strzalińską rogatką (prawdę powiedziawszy jedne drugim nie ustępują pod względem czystości i bezpieczeństwa odwiedzających je.) Czytając wykaz wypadków nagłej śmierci, zadrżeliśmy, widząc że prawie połowa nastąpiła skutkiem nadużycia trunków; ale czy pomyślimy kiedy o środkach ratowania grzęznących w błocie nałogu i rozpaczliwej ciemnoty? To nie dla nas! my nawet nie wiemy czy mogą być karczmy i domy zabaw dla ludu inaczej urządzone.

Niedawno mamy doróżki powozowe, którym początek dał p. G. nie wiemy jakie one przynoszą zyski, ale to pewna że w krótkim czasie namnożyło się ich do kilkunastu. Szkoda tylko że do konkurencyi przypuszczono

żydów; znaną bowiem z nieporządku, wprowadzą a nawet już wprowadzili go i tutaj, co utrudni exystencję przy wątlých, jak sądzimy z wysokich cen za kursa warunkach.

Nadesłano nam z Międzyrzecza co następuje: p. Redaktorze! Przejeżdżając przez Siedlce w Maju r. b. zmuszony byłem zatrzymać się dni parę dla załatwienia interesów i razem z bratem zamieszkałem w hotelu Angielskim. Na drugi dzień po przyjeździe około godziny 11-jej w nocy brat mój zachorował, obawiając się złych następstw opóźnionego leczenia wybiegłem po doktora. Nie znając miasta prosiłem faktora aby mi wskazał mieszkanie któregokolwiek Lekarza, co też uczynił, ale jakież było moje zadziwienie gdy po półgodzinnym czekaniu służąca zapytała mnie o nazwisko, podałem bilet i w 25 minut otrzymałem odpowiedź że pana nie ma w domu; udałem się więc do drugiego. Po podobnych ceremoniach p. doktor kazał mi oświadczyć „iż cierpi ból zębów i obawia się deszczu.“ Poszedłem dalej, była już godzina 2 po północy. Trzeciego p. doktora *rzeczywiście* nie zastałem w domu, mówię *rzeczywiście* gdyż nie żądano odemnie biletu; dopiero czwarty o godzinie 3 z rana zadosyć uczynił mój prośbie. O godzinie 4 mogłem podać lekarstwo choremu bratu. Ile razy przez 5 godzin można umrzeć? Pytałem o to Lekarza który pisał receptę, na co mi odpowiedział iż bardzo rzadko zdarzają się wypadki chorób nocnych, niedziwi się więc bardzo opieszałości kolegów. Nie robię tu żadnych wywodów upraszając pana o wydrukowanie samego faktu, ze szczególnym naciskiem na owę rekomendację *w niebezpieczeństwie*. Przyjm pan i. t. d.

*Konstanty S.*

Z areny żyjących przejdźmy ku zmarłym. W Czerwcu zakończył życie X. Kanonik Szablowski Proboszcz parafii Siedleckiej od lat kilkudziesięciu pełniący swe obowiązki. Na miejsce zmarłego X. Szablowskiego naznaczonym został proboszczem X. Wiktor Dąbrowski.

A kiedy już mowa o zmarłych, nie od rzeczy będzie zawadzić i o cmentarz ogrodzony zniszczonym murem z dewizą wypisaną na frontonie „Kto wierzy we mnie choćby i umarł żyć będzie.“ Wolelibyśmy odwrócić oczy od widoku który się przedstawia: brak miejsca zmusza do kopania grobów tam, gdzie przed paru ledwie laty pochowano ciała zmarłe; na wpeł przegniłe kości tarzają się nie tylko między mogiłami ale i na ścieżkach, a chwasty zarastające katolicki cmentarz przyczyniają się do uzupełnienia ponurego obrazu . . . . . bądź co bądź wolimy prozę Prawosławnego cmentarza, gdzie ścieżki czyste i usypane piaskiem, dobre dają świadectwo o zarządzie cmentarnym. Z pomników zasługuje na uwagę kaplica W. Stefanowicza na grobie żony z napisem malującym dokładnie rozpacz małżonka w słowach: „ja się przed Bogiem poskarżę.“ Grób familijny Więckowskich, oraz odznaczający się oryginalnością pomnik Rady kollegialnego ś. p. Antela.

Dziwną jest obojętność mieszkańców Siedlec którą powodowani nie chcą znać spraw rozstrzyganych w Sądach. W Warszawie tłumy uczęszczają na publiczne audyencye Sądów karnych; u nas dozwolony wstęp każdemu, a niebyło wypadku aby ktośkolwiek nieinteressowany znalazł się przed kratką. Naszem zdaniem gdyby ojcowie prowadzili swe dzieci na sessye i obznajmiali z kodexem, gdyby matki wdrażały moralność pozytywną, mniejby

synów porządnych rodziców gniło w celach Siedleckiego więzienia, lub strzałem pistoletu uwalniało się od hańby.

Letnie upały z całą zawziętością dają się czuć w Siedlcach pozbawionych rzeki, brak ten będący winą pierwszych założycieli nie można już wynagrodzić. Próbowano go zastąpić. Mówiono długo i szeroko o sprowadzeniu kanałami wody z rzeki Liwca o 5 wiorst odległej, lecz projekt taki zdaje się być nieprawdopodobnym, gdyż o ile nam wiadomo poziom téj rzeki znacznie niżéj jest położony niż poziom miasta, jasną więc jest rzeczą z jakimi trudnościami walczyć by przyszło i jakich kosztów wymagałaby podobna operacya. Sądzymy że praktyczniej by było i o wiele taniej wysadzić drzewami o szybkim wzroście drogę do rzeczki Muchawki nie równie bliżej płynącej; nie dałoby to miastu wody, to prawda, ale umożliwiło by kąpiele, do których spacer parowiorstowy ale w cieniu nie byłby zbyt utrudzającym, a w obecnym stanie po drogach piaszczystych i nieocienionych jest on niepodobieństwem. Wodę jeszcze przed kilku laty usiłowano dla miasta zdobyć i rozpoczęto w tym celu świdrować studnię artezyjską, lecz podobno zamiast ziemi przewiercono dopiero kassę, więc do wody jeszcze bardzo daleko.

Na tem kończymy tegoroczną gawędę, z serca pragnęlibyśmy powiedzieć więcej, bo dobrze życzymy miastu i gubernii więc wolelibyśmy oddawać im pochwały niż wykazywać błędy, nie nasza wina jeżeli chwasty zakryły zdrową roślinność. Oby wtedy kiedy rozmawiać będziem powtórnie było inaczej, oby dobre strony wzięły górę nad usterkami, a wtedy i sługa Wasz w kronice swéj będzie względniejszym, co daj Boże jak najprędzej.

# TRZY PORTRETY

przez **J. S. Turgeniewa**

PRZEKŁAD Z RUSKIEGO.

Sąsiedztwo jest jedną z największych nieprzyjemności wiejskiego życia, znalazłem pewnego wołogodzkiego obywatela, który przy każdej zdarzonej okoliczności powtarzał: „dzięki Bogu, że nie mam sąsiadów, i przyznam się że zazdrościłem temu szczęśliwemu śmiertelnikowi, Wieś moja leży w jednej z najludniejszych ruskich gubernii, otoczony jestem niezmienną ilością sąsiadów, zaczawszy od życziwych i zacnych obywateli ubranych w przestronne fraki i bardziej jeszcze przestronne kamizelki, a kończąc na fachowych hulakach, noszących węgierki z długimi rękawami i tak zwanym „fimskim“ węzłem na plecach. Pomędzy tą szlachtą znalazłem przypadkiem bardzo przyjemnego człowieka, który służył dawniej wojskowo, następnie wziął dymissję i po wszystkie wieki wieków zamieszkał na wsi. Podług jego opowiadania, służył on dwa lata w P . . m półku, ale zupełnie niepojmuję jakim sposobem ten człowiek mógł

pełnić jakiegokolwiek obowiązki, nie mówię już przez dwa lata, ale choćby tylko przez dwa dni. Był bowiem zrodzony do życia spokojnego, do wiejskiej ciszy, to jest, do leniwój wegetacji bez trosk, która, mówiąc nawiasem, nie jest pozbawioną wielkich i niewyczerpanych powabów.

Korzystał on z bardzo porządnego bytu; nie troszcząc się zbytnio o gospodarstwo, wydawał około 10,000 rs. rocznie; postarał się o dobrego kucharza (mój przyjaciel lubił jeść dobrze) prenumerował także z Moskwy nowsze francuzkie książki i idzienniki. Po rusku czytał tylko doniesienia ekonomy i to nawet z trudnością, od rana (jeżeli nie wyjeżdżał na polowanie) do obiadu i przy obiedzie nie zdejmował szlafroka, przeglądał jakie gospodarcze rysunki, czasem chodził do stajni lub młocarni i wyśmiewał baby, które rozmachiwały przed nim cepami, jak to mówią, dla przechwałki.

Po obiedzie mój przyjaciel ubierał się bardzo starannie przed lustrem i jechał do którego ze sąsiadów, posiadających dwie albo trzy ładne córki, umizgał się do jednej z nich, grał z niemi w ślepa babkę, wracał do domu dość późno i zaraz zasypiał snem bohaterskim. Nudzić się on niemógł, dla tego, że nigdy nieoddawał się w zupełności próżniactwu; a co do wyboru zajęć nie był wybrednym i jak dziecko bawił się lada drobnostką.

Z drugiej strony nie czuł on szczególniejszego przywiązania do życia: czasami, uganiając się za wilkiem albo lisem, puszczał konia w cwał po takich wądołach, że dotychczas niemogę zrozumieć, jakim sposobem sto razy nie skręcił karku. Należał do rodzaju tych ludzi, którzy wzbudzają myśl, że się wcale niecenia, że pod ich zewnętrzną obojętnością kryją się silne i wielkie namiętności; ale on by wam się w oczy rozśmiał, gdyby się domyślił że takie



onim macie wyobrażenie! Prawdę powiedziawszy ja sam myślę, iż jeżeliby się pokazało po moim przyjacielu że miał w młodości jakąkolwiek, choćby niewyraźną dążność do tego, co bardzo przyjemnie nazwano: »czemś wyższem» to dążność ta oddawana w nim uściła się i zagasta. Był dość gruby i cieszył się doskonałym zdrowiem. W naszych czasach niepodobna nie lubić ludzi mało troszczących się o siebie, dla tej prostej przyczyny, że oni się bardzo rzadko zdarzają a mój przyjaciel o mało co niezapomniał o samym sobie. Zresztą, zdaje się że już bardzo dużo o nim mówię, a moja gadanina tem bardziej nie na miejscu, że nie on jest przedmiotem opowiadania. Zwano go Piotrem Fedorowiczem Łuczynowym.

Pewnego dnia w jesieni zjechało się nas pięciu zagorzałych myśliwych do Piotra Fedorowicza

Cały ranek przepędziliśmy w polu, zabili dwóch wilków i mnóstwo zajęcy a wróciliśmy do domu w tem zachwycająco przyjemnem usposobieniu ducha, które ogarnia każdego porządnego człowieka po szczęśliwem polowaniu.

Był zmrok. Wiatr hulał po ciemnych polach i z szumem kołysał obnażone wierzchołki brzoź i lip otaczających dom Łuczynowa. Przyjechalismy zsiadli z koni . . . . na ganku zatrzymałem się i obejrzałem: na szarem niebie wolno pełzały długie chmury; ciemno-bury krzaczek kręcił się na wietrze i szumiął skarżąc się; żółta trawa bezsilnie i boleśnie zginała się ku ziemi; stada drozdów przelatywały po jarząbkach osypanych jaskrawo pąsowemi gronami; w cieniach i nietrwałych sękach brzoź ze swistem podskakiwały sikory; na wsi psy charpliwie czekały. Byłem smutny. . . i dla tego z przyjemnością wszedłem do jadalnego pokoju.

Okiennice były zamknięte; na okrągłym stole, pokrytym obrusem oślepiającej białości, pośród kryształowych



karafek napętnionych czerwonym winem, paliło się ośm świec w srebrnych lichtarzach. W kominie wesoło palił się ogień, i stary, bardzo przyjemny, służący, z ogromną łysiną, ubrany po angielsku, stał w pełnej uszanowania nieruchomości przed drugim stołem, na którym już widać było wielką wazę, obwiniętą w lekką i pachnącą parę. W sionkach przeszliśmy około drugiego szanownego człowieka, zajętego zamrażaniem szampana, według ścisłych prawideł sztuki.

Obiad był, jak to zwykle się zdarza w podobnych wypadkach bardzo przyjemny; śmieliśmy się, opowiadali zdarzenia z polowania, i z uniesieniem wspominaliśmy dwie znakomite naganki.

Podjadłszy dość dobrze, zajęliśmy miejsca w szerokokich fotelach przy kominie; na stole ukazała się wielka srebrna waza i w chwil parę, płomyk palącego araku błogi zapowiedział nam zamiar gospodarza „przygotować krupnik! Piotr Fedorowicz był to sobie człowiek nie bez gustu wiedział on na przykład, że nic tak silnie nie działa na wyobraźnię, jak równe, zimne i pedanckie światło lamp, i dla tego, zostawić kazał w pokoju dwie świece. Dziwne półcienie utworzone przez zachciankową grę ognia w kominie i płomień krupniku drżały po ścianach. Ciche, bardzo przyjemne zadowolenie zajęło miejsce w naszych sercach nieco bujnej miłości panującej przy obiedzie.

Rozmowy mają swoje losy, tak jak książki (według łacińskiego przysłowia) jak wszystko na świecie.

Nasza rozmowa tego wieczoru była szczególnie jako urozmaiconą i żywą. Od szczegółów przechodziliśmy do dość ważnych społecznych kwestyi, łatwo i bez przymusu wracając do codzienności i życia... Nagawędziwszy dość dużowszycyśmy nagle zamilkli. W tym czasie, powiadają przelatuje anioł.

Niewiem, dlaczego towarzysze moi zamilkli: cò do mnie umilkłem dla tego, że oczy moje zatrzymały się nagle na trzech zakurzonych portretach w czarnych drewnianianych ramach. Farby zatarły się i gdzie niegdzie były spaczone, ale twarze można było jeszcze rozpoznać.

Środkowy portret wyobrażał młodą kobietę w białej sukni z koronkowemi obwódkami, w wysokiej koafiurzelat 80.

Na prawo od niej, na tle zupełnie czarnem, widać było okrągłą i tłustą twarz dobrego ruskiego obywatela lat 25, z niskim a szerokim czołem, tępyim nosem i prostodusznym uśmiechem. Francuska pudrowana koafiura nie zgadzała się ze słowiańskim wyrazem jego twarzy. Malarz dał mu surdut czerwony z wielkimi guzikami; w rękę trzymał on jakiś nieistniejący kwiatek. Trzeci portret malowany wprawniejszą ręką, przedstawiał człowieka lat 30, w zielonym mundurze z czasów Katarzyny, w białej kamizelce i cienkim batystowym krawacie. Jedną ręką wsparty był na lasce ze złotą gałką, drugą założył za kamizelkę. W jego chudój, wysmukłej twarzy przebijała się zuchwała nadętość.

Wązkie a długie brwi prawie zrastały się nad czarnemi jak smoła oczami; na białych ledwie widzianych ustach igrał złowieszczy uśmiech.

— Co pan się tak wpatrujesz w te twarze? zapytał mnie Piotr Teodorowicz.

— Tak, odpowiedziałem spojrzawszy na niego.

— Może pan chcesz usłyszeć powieść o tych trzech osobach?

— Jeżeli pan łaskaw! Odpowiedzieliśmy jednozgodnie.

Piotr Teodorowicz wstał, wziął świecę, zbliżył ją do portretów, i głosem człowieka, pokazującego dzikie zwierzęta, wygłosił: „Panowie! ta dama—to wychowanica mojego rodzzonego pradziada, Olga Iwanowna NN. przewana

Łuczynowa, umarła lat temu 40 będąc panną“. — „Ten pan“ wskazując portret mężczyzny w mundurze — „był sierżantem gwardii, Wasili Iwanowicz Łuczynow, zmarł z woli Boga w 1790 r.; a ten pan, którego nie mam honoru być krewnym, jest niejakim Pawłem Afanasiewiczem Rogaczewem, i nigdzie, o ile wiem nie służył. Chciejcie panowie zwrócić uwagę na dziurę, znajdującą się w jego piersi, w tem miejscu gdzie serce. Ta dziura, jak panowie zobaczycie jest regularna, trojkątna prawdopodobnie, nie mogła być zrobioną przypadkiem“. Teraz ciągnął dalej zwyczajny już głosem, zechciejcie panowie usiąść, uzbroić się w cierpliwość i słuchać.

„Panowie“ zaczął, — ja pochodzę z dość starej rodziny. Nie jestem jednak dumny ze swego pochodzenia bo moi wszyscy przodkowie byli strasznie marnotrawni. Zresztą zarzut ten nie dotyczy wcale mojego pradziada, Iwana Andrejewicza Łuczynowa, — przeciwnie: słynął on jako człowiek bardzo oszczędny a nawet skąpy, przynajmniej w ostatnich latach swego życia. — Młodość przepędził w Petersburgu i był świadkiem panowania Elżbiety. — W Petersburgu ożenił się i z żoną swą a moją prababką miał czworo dzieci trzech synów, Wasila, Iwana i Pawła (rodzonego mego dziadka) i jedną córkę Natalję. — Niezależnie od tego Iwan Andrejewicz przyjął na łono swej rodziny córkę dalekiego krewnego, zupełną sierotę. — Olgę Iwanównę, o której już panom mówiłem.

Poddani mojego dziadka, prawdopodobnie wiedzieli o tem że on istnieje, gdyż posyłali mu (jeżeli nie zdarzyło się szczególne nieszczęście) bardzo małeńki podatek, ale nigdy nie widzieli go na oczy. — Wioska Łuczynówka wegetowała będąc pozbawioną przyjemności oglądania twarzy swego pana, gdy nagle, pewnego pięknego poranku, ciężka

kareta wjechała do wsi i zatrzymała się przed izbą starosty.

Chłopi, przerażeni takim niezwykłym wypadkiem, zbiegli się i ujrzeli swego pana, panią i dzieci z wyjątkiem starszego Wasila, który pozostał w Petersburgu. Od tego pamiętnego dnia, aż do śmierci swej Iwan Andrejewicz nie wyjeżdżał z Łuczynowki.—Wystawił sobie dom—ten sam w którym mam zaszczyt z panami rozmawiać; wybudował także cerkiew i zaczął żyć jako obywatel.—Iwan Andrejewicz był to człowiek ogromnego wzrostu, chudy, milczący i bardzo powolny we wszystkich ruchach; nigdy nie nosił szlafroka, i nikt, z wyjątkiem kamerdynera, nie widział go nie upudrowanym.

Iwan Andrejewicz zwykle chodził założywszy w tył ręce, zwolna obracając głowę za każdym krokiem. Codziennie spacerował po długiej lipowej alei, którą własnoręcznie posadził—i przed śmiercią korzystał z przyjemnego cienia tych lip.

Był bardzo mało mównym, czego dowodem jest ta okoliczność, że w przeciągu 20 lat nie powiedział ani słowa do swej żony Anny Pawłówny.—Wogóle jego stosunki z żoną były bardzo dziwnego rodzaju.—Miała ona zarząd nad całym domowym gospodarstwem, przy obiedzie siedziała zawsze obok męża, który bez litości ukarał by człowieka ośmielającego się odezwać do niej bez szacunku, a tym czasem, sam nic do niej nie mówił, nie dotykał się jej ręki.—Anna Pawłówna była kobietą nieśmiałą, bladą, złąmaną smutkiem; codziennie na kolanach modliła się w cerkwi i nigdy się nie uśmiechała.—Mówiono, że dawniej, to jest przed przyjazdem na wieś żyli oni w lepszej komitywie; chodziły także wieści że Anna Pawłówna naruszyła obowiązki małżeńskie, że mąż dowiedział się o jej występku.

Bądź co bądź, ale Iwan Andrejewicz nic pogodził się z nią nawet umierając.—Podczas ostatniej jego choroby, nie oddalała się od niego ani na chwilę, lecz on zdawał się jej nie widzieć. Jednej nocy siedziała Anna Pawłówna w sypialni Iwana Andrejewicza, męczyła go bezsenność—lampa paliła się przed obrazem; służący mego dziadka Judicz, o którym panom później słów parę powiem, wyszedł. Anna Pawłówna wstała, przeszła przez pokój i łkając rzuciła się na kolana przed łóżem męża, chciała coś powiedzieć—wyciągnęła ręce..... Iwan Andrejewicz popatrzył na nią i słabym ale stanowczym głosem zawołał: „służący!“—Wszedł służący, Anna Pawłówna śpiesznie wstała i słaniając się wróciła na swoje miejsce.—

Dzieci Iwana Andrejewicza nadzwyczaj się go bały. Wyrosły one na wsi i były świadkami dziwnego jego postępowania z żoną.—Wszystkie namiętnie kochały Annę Pawłównę, ale nie śmiały okazywać swej miłości. Ona sama jakby ich unikała.—Pamiętacie panowie mego dziadka: on do śmierci chodził na palcach i mówił cicho... co to znaczy przyzwyczajenie!.. Mój dziadek i brat jego Iwan Iwanowicz, byli to ludzie prości, dobrzy, spokojni i smutni; moja grand' tante Natalja wyszła jak wam wiadomo za mąż za grubego a głupiego człowieka i aż do śmierci żywiła dla niego milczącą, owczą miłość—ale brat ich Wasili był w zupełności nie taki.—Powiedziałem wam już, jak mi się zdaje, że Iwan Andrejewicz zostawił go w Petersburgu. Miał on lat dwanaście.—Ojciec powierzył opiekę nad nim dalekiemu kuzynowi, człowiekowi już nie młodemu, kawalerowi i wielkiemu zwolennikowi Voltaire'a.—

Wasili wyrósł, wstąpił do służby.—Był nie wielkiego wzrostu, ale dobrze zbudowany, oraz bardzo zwinny; pięknie mówił po francuzku i słynął z umiejętności poje-

dynkowania się na szpady.—Uważano go za jednego z najznakomitszych młodych ludzi w początkach panowania Katarzyny.—Ojciec mój często mi mówił, że znał nie jedną staruszkę, która nie mogła wspomnieć o Wasilu bez przyjemnego wrażenia w sercu.

Wyobraźcie sobie panowie człowieka, obdarzonego nie zwykłą siłą woli, namiętnego i zastanawiającego się, cierpliwego i śmiałego, niepospolicie chytrego i—według słów wszystkich tamtoczesnych zachwycająco, czarująco mitego.—Nie miał on ani sumienia, ani dobroci, ani szlachetności, chociaż nikt nie mógł go nazwać zupełnie złym człowiekiem.—Był samolubny lecz umiał ukryć swe samolubstwo, i namiętnie lubił niezależność.—Kiedy Wasili Iwanowicz uśmiechając się dobrotliwie przymróżył czarne oczki, chociaż chciał kogoś usidlić nie można mu się było sprzeciwić—i nawet ludzie przekonani o chłodzie i suchości jego duszy nie raz podlegali czarującej sile jego wpływu. Gorliwie służył samemu sobie; zmuszał innych do pracowania nad jego wygodami, a zawsze i we wszystkim zwyciężał, dla tego że nigdy nie tracił głowy, nie brzydził się pochlebstwem jako środkiem i umiał pochlebiać.—W dziesięć lat po osiedleniu się Iwana Andrejewicza na wsł przyjechał on na cztery miesiące do Łuczynówki będąc już znakomitym oficerem gwardyi i podczas swego pobytu zdołał zawrócić głowę nawet takiemu starcowi jakim był jego ojciec. Rzecz dziwna! Iwan Andrejewicz z przyjemnością słuchał opowiadań syna o niektórych jego *zwycięstwach* Bracia truchleli przed nim i uważali go za jakąś wyższą istotę.—Nawet i Anna Pawłówna o mało co nie pokochała go bardziej niż wszystkie inne dzieci, tak namiętnie, tak prawdziwie jej oddane.....

Wasili Iwanowicz przyjechał na wieś najprzód dla tego, aby zobaczyć się z familją a dalej ażeby wyludzić od ojca jak można najwięcej pieniędzy.—Prowadząc bowiem życie hulaszcze w Petersburgu narobił mnóstwo długów.—Nie łatwo mu było tego dopiąć z powodu skąpstwa ojca, a chociaż Iwan Andrejewicz dał mu podczas jednego tylko przyjazdu daleko więcej pieniędzy niż wszystkim innym synom przez lat 20 ich pobytu w rodzicielskim domu, ale Wasili wziął za zasadę znane ruskie przysłowie: „jak brać to już dobrze“. Iwan Andrejewicz miał służącego nazwiskiem Judicz, który był tak samo wysokim, chudym i milczącym człowiekiem jak i pan jego.—Mówiono że ten Judicz był w części przyczyną dziwnego obchodzenia się Iwana Andrejewicza z Anną Pawłówną on to bowiem odkrył podobno występny stosunek mej prababki z jednym z najlepszych przyjaciół pradziada. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Judicz żałował swej niewczesnej gorliwości, gdyż trudno sobie wyobrazić lepszego człowieka jakim on był. Wspomnienie o nim do dnia dzisiejszego jest świętem u wszystkich moich służących. Judicz cieszył się nieograniczonym zaufaniem mego pradziada. W te czasy obywatele posiadali pieniądze, lecz nie składali ich do kass oszczędności, tylko sami chowali w kufrach, piwnicach i t. d. Iwan Andrejewicz trzymał wszystkie swoje pieniądze w wielkiej, okutej szkatule, znajdującej się pod wezłowiem. Klucz od tego kufra posiadał Judicz. Co wieczor, kładąc się spać, Iwan Andrejewicz w swojej obecności kazał otwierać ten kufer uderzał kijem z kolei po wszystkich mocno nabitych workach i starannie przeliczał pieniądze. Wasili wywiedział się o tem wszystkim i zapalał żądzą naruszenia spokoju szkatułki. Przez pięć czy sześć dni ułagodził Judicza, to jest przyprowa-

dził biednego starca do tego, że w młodym panu jak to mówią: „nie spodziewał się duszy“, Przygotowawszy go jak należało, Wasili udał że jest bardzo smutny i zmartwiony, długo nie chciał odpowiadać na pytania Judzicza, nareszcie powiedział mu że zgrał się i że targnie się na swoje życie—jeżeli nie dostanie gdzie pieniędzy. Judzicz zapłakał, rzucił się przed nim na kolana, zaklinał aby pamiętał o Bogu i nie gubił swej duszy.

Wasili nie mówiąc ani słowa, zamknął się w pokoju. Po pewnym czasie usłyszał że ktoś ostróżnie zapukał, otworzył drzwi i zobaczył na progu bladego i drżącego Judzicza z kluczem w ręku. Wasili natychmiast wszystko zrozumiał. Z początku długo odmawiał. Judzicz ze łzami błagał: „pozwól pan, weź pan“.

Nareszcie Wasili się zgodził. Rzecz się działa w poniedziałek. Wasili wpadł na myśl zamienić wyjęte pieniądze skorupkami. Liczył on na to że Iwan Andrejewicz uderzając kijem po workach nie zwróci uwagi na ledwie dającą się poznać różnicę dźwięku, a przed sobotą miał nadzieję dostać pieniędzy i włożyć napowrot do skrzynki. Pomyślano—zrobiono. Ojciec rzeczywiście nic nie poznał;—ale Wasili do soboty nie dostał pieniędzy; miał zamiar przy pomocy wziętej summy ograć bogatego sąsiada—lecz przeciwnie sam wszystko przegrał. Tym czasem przyszła sobota; nadeszła kolej i na worki napełnione skorupkami. Wyobraźcie sobie panowie zadziwienie i zgorzenie Iwana Andrejewicza.

— Co to znaczy?! wrzasnął.

Judzicz milczał.

— Tyś ukradł te pieniądze?!

— Nie, wcale nie.

— Więc ktoś brał klucz od ciebie?.



— Nie dawałem nikomu klucza.

— Nikomu? jeżeli nikomu—toś i ty złodziej. Przyznaj się!

— Ja nie złodziej.

— Zkądżeś wziął te skorupy, do licha! To tak mnie oszukujesz? Ostatni raz powiadam ci przyznaj się!

Judicz spuścił głowę i założył w tył ręce.

— Hej, ludzie! krzyknął wściekle Iwan Andrejewicz— palek!

— Jakto? mnie... karać?... szepnął Judicz.

— Masz tobie! czyś ty lepszy od innych? złodzieju!... Judicz, nie spodziewałem się po tobie takićj podłości.

— Ja osiwałem w służbie u pana! wymówił z wysiłkiem Judicz.

— A co mnie do twojćj siwizny! Niech cię djabli porwą razem z twoją służbą!

Weszli ludzie.

— Weźcie no go, tylko dobrze!

Usta Iwana Andrejewicza zbielały i trzęsły się.— Chodził po pokoju jak dziki zwierz w swojćj klatce.

Ludzie nie śmieli spełnić jego rozkazu.

— No, cóż stoicie, chamy! Czy ja sam mam się wzięść do niego?

Judicz zbliżył się do drzwi.....

— Czekajcie! krzyknął Iwan Andrejewicz.— Judicz ostatni raz ci mówię przyznaj się, ja ci przebaczę!

— Nie mogę! jęknął Judicz.

— Więc bierzcie go starego lizusa!... Do śmierci!... Na moją głowę! wrzeszczał wściekły starzec.— Inkwizycja zaczęła się.— Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Wasili.

Był on prawie że bledszy od ojca, ręce mu drżały, wierzchnią wargę miał podniesioną i widać było rząd białych i równych zębów.

— To moja wina, powiedział cichym ale stanowczym głosem, ja wziąłem te pieniądze.

Służba zatrzymała się.

— Ty, jakto! ty, Waśka! bez zezwolenia Judicza?

— Nie, odpowiedział Judicz:— z wiedzą moją. Ja sam oddałem klucz Wasilemu Iwanowiczowi. Panie Wasili Iwanowicz, uspokój się pan....

— Więc to tak, oto kto jest złodziejem! krzyknął Iwan Andrejewicz. Dzięki ci Wasili, dzięki! Tobie jednak Judicz ja nie daruję.— Dla czegoś się zaraz nie przyznał?... Hej, wy, cóż to stoicie? może i wy nie przyznajecie mojej władzy?... A z tobą, porachujemy się, gołąbku! dodał zwracając się do Wasila.

Służba znowu wzięła się do Judicza.

— Nie ruszać go! mruknął Wasili przez zęby. Ludzie go nie słuchali.

— Precz! krzyknął i rzucił się na nich..... Odsunęli się.

— Ha, buntować! jęknął Iwan Andrejewicz i z podniesionym kijem zwrócił się do syna.

Wasili odskoczył, chwycił rękojeść szpady i obnażył ją do połowy. Wszyscy zadrżeli. Anna Pawłówna sprowadzona hałasem, przestraszona, blada, ukazała się we drzwiach.

Twarz Iwana Andrejewicza strasznie się zmieniła. Zachwiał się, upuścił kij i zwolna upadł na fotel, zakrywając twarz rękami. Wszyscy stali nieporuszeni, jakby wrosli w ziemię, nie wyłączając i Wasila. Drżącą ręką ścisnął rękojeść szpady, oczy jego błyszczały złowieszczym blaskiem.....

— Idźcie precz wszyscy... powiedział cichym głosem Iwan Andrejewicz, nieodejmując ręk od twarzy.

Cały ten tłum wyszedł. Wasili zatrzymał się na progu, potem nagle potrząsnął głową, ścisnął Judicza, pocałował w rękę matkę... i w dwie godziny już go nie było we wsi. Wyjechał do Petersburga.

Wieczorem, tego samego dnia, Judicz siedział na ganku. Ludzie otoczyli go, litowali się nad nim i gorzkie zawadzili żale na pana.

— Dość tego dzieci, powiedział do nich wreszcie... dość... za co czynicie mu wyrzuty?... przecież on i sam nie bardzo rad ze swego losu.....

W skutek tego wypadku Wasili już nie widział się więcej z ojcem. Iwan Andrejewicz umarł bez niego, i umarł prawdopodobnie z takim ciężarem na sercu, jakiego nie daj Boże komukolwiek z nas. Wasili Iwanowicz tymczasem wyjeżdżał, bawił się i rozrzucał pieniądze. Przyjął sobie służącego, francuza, sprytnego i chytrego Boursié. Człowiek ten namiętnie się do niego przywiązał, i pomagał mu we wszystkich a niezliczonych występkach. Nie mam bynajmniej zamiaru opowiadać panom szczegółowo czynów mojego grand'oncle; odznaczał się bowiem tak nieograniczoną śmiałością, takim podstępem żmii, tak niezrównaną zimną krwią, tak chytrym i dzielnym rozumem, że przyznam się iż mogę pojąć nieograniczoną władzę tego niemoralnego człowieka nad najszlachetniejszymi duszami.....

Wkrótce po śmierci ojca, Wasili Iwanowicz, pomimo swej przebiegłości został wyzwany na pojedynek przez pewnego obrażonego męża. Bił się, ciężko ranił przeciwnika i został zmuszonym wyjechać ze stolicy; otrzy-

mał rozkaz mieszkac bez wyjazdu w swoim majatku. Wasili Iwanowicz miał wtedy lat 30.

Panowie łatwo możecie sobie wyobrazić, z jakim uczuciem ten człowiek przywykły do hulaszczego życia w stolicy jechał do miejsc rodzinnych. Powiadają, że w drodze często wysiadał z bryczki, rzucał się twarzą na śnieg i płakał. Nikt w Łuczynowie nie poznał milego i wesołego dawniej Wasila Iwanowicza. Z nikim nie rozmawiał, od rana do wieczora jeździł po polowaniach, z widoczną niecierpliwością przyjmował czule obejście się matki i bez litości ośmieszał braci i ich żony (oni obaj zdążyli się już ożenić).....

Zdaje się że dotąd nie mówiłem jeszcze nic panom o Oldze Iwanównie. Przywieziono ją do Łuczynówki gdy była jeszcze dzieckiem przy piersi; w drodze o mało co nie umarła. Olga Iwanówna wychowaną była, jak to powiadają, w bojaźni Bożej i rodzicielskiej.... potrzeba przyznać że Iwan Andrejewicz i Anna Pawłówna obchodzili się z nią jak z córką. Ale w niej tliła się iskra tego ognia, który tak jasno gorzał w duszy Wasila Iwanowicza. Podczas gdy dzieci Iwana Andrejewicza nie śmiały nawet pomyśleć o przyczynach, dziwnej i tajemnej niezgody pomiędzy rodzicami — Olgę od młodości niepokoilo i dręczyło położenie Anny Pawłówny. Podobnie jak i Wasili lubiła ona niezależność; każdy ucisk ją drażnił. Całą siłą duszy przywiązaną była do swojej dobrodziejki; starego Łuczynowa nienawidziła, i nieraz siedząc za stołem, rzucała na niego tak posępne spojrzenia, że nawet służącemu który podawał jedzenie robiło się *bardzo czule*. Iwan Andrejewicz nie zauważył tych spojrzeń dla tego, że w ogóle nie zwracał wcale uwagi na swą rodzinę. Z początku Anna Pawłówna starała się stłumić w niej tę nienawiść—ale

pewne śmiałe pytania zmusiły ją zupełnie zamilknąć. Dzieci Iwana Andrejewicza ubóstwiały Olę a i stara kochała ją także chociaż dość zimną miłością. Długotrwały smutek zadusił w tej biednej kobiecie wszelką wesołość, każde silniejsze uczucie; nie tak dobitnie nie dowodzi czarodziejskiego sposobu przypodobania się Wasila, jak to, że zmusił nawet swą matkę do tego aby go mocno pokochała.

Wylewy dziecięcej czułości nie zgadzały się z duchem tamtych czasów;—nie więc dziwnego, że Olga nie śmiała okazywać swego przywiązania, choć zawsze z wyjątkową czułością całowała przy pożegnaniu wieczorem rękę Anny Pawłówny. Umiąca zaledwie czytać i pisać.

Dwadzieścia lat temu, dopiero ruskie panny zaczęły czytać romanse w rodzaju „Pochodów markiza Głagola, Fanfana i Łototy, Aleksego albo Chatki w lesie“; zaczęły uczyć się grać na fortepianie i śpiewać pieśni w rodzaju następującej, niegdyś bardzo wziętej:

„Mężczyzni na świecicie

„Jak muchy lgną do nas“ i t. d.

Ale w 70 roku (Olga Iwanówna urodziła się w roku 1757) nasze wioskowe panienki nie miały nawet pojęcia o wszystkich tych ulepszeniach. Trudno nam teraz wyobrazić sobie ruską kobietę z tamtych czasów, prawda, że możemy z naszych babek sądzić o stopniu wykształcenia szlachcianek z czasów Katarzyny; ale jak odróżnić to, co stopniowo przyjmowały one przez ciąg długiego ich życia, od tego, czem one były w młodości?..

Olga Iwanówna mówiła nieco po francuzku—ale z wyraźnym ruskim akcentem; pod ten czas o emigrantach jeszcze się ani śniło. Słowem, przy wszystkich swych dobrych przymiotach, była ona jednak porządną

*dziewką*—i, zdarzało się, że w prostocie ducha własnoręcznie karała jaką tam złą garderobianę.....

Niedługo przed przyjazdem Wasila Iwanowicza, zaręczono Olgę Iwanównę z siąsiadem—Pawłem Afanasiewiczem Rogaczewem najlepszym i najzaciejszym człowiekiem. Natura zapomniała mu dać żółci. Właśni jego ludzie nie słuchali go się, wychodzili sobie czasem wszyscy i zostawiali biednego Rogaczewa bez obiadu..... ale nie nie mogło zamącić spokoju jego duszy. Z dzieciństwa odznaczał się dobrą tuszą i nieruchliwością; nigdzie nie służył, lubił chodzić do cerkwi i śpiewać na chórze.

Spójrzcie panowie na tę dobrotliwą, okrągłą twarzyczkę; wpatrzcie się w ten uśmiech spokojny i pogodny.... czyż nie prawda, wam samym robi się weselej?

Ojciec jego jeździł dawniej do Łuczynówki biorąc ze sobą we święta Pawełka, któremu mali Łuczynowicze zawsze dokuczali. Pawełek wyrosł, zaczął sam jeździć do Iwana Andrejewicza, zakochał się w Oldze Iwanównie i ofiarował jej swą rękę i serce, to jest, właściwie nie jej, ale jej dobroczyńcom, ci zgodzili się. Nie uważali nawet za stosowne zapytać Olgi Iwanówny, czy podoba się jej Rogaczew? W te czasy, według słów mojej babki: „takie rozkosze nie istniały.“ Z resztą, Olga prędko przywykła do swego narzeczonego; niepodobna było nie przywiązać się do tego spokojnego i łaskawego stworzenia. Rogaczew nie otrzymał żadnej edukacji; po francuzku umiał tylko powiedzieć: „bon jour“ i potajemnie uważał nawet to słowo za nieprzyzwoite.

Ale,... jeszcze jakiś dowcipniś nauczył go następującej niby francuzkiej pieśni: „Soniu, Soniu, ke wu le wu mua“ — ja cię ubóstwiam „me że ne pe pa“..... Piosnkę tę zawsze nucił półgłosem, gdy był w dobrym humorze.

Ojciec jego był także nie do opisania dobry; wiesznie chodził w długim nankinowym surducie, i co tylko do niego mówiono wszystko z uśmiechem potakiwał. Od czasu zaręczyn Pawła Afanasiewicza obaj Rogaczewy — ojciec i syn, wielce byli zajęci; przerabiali dom, przybudowywali różne „galerje“ — po przyjacielsku rozmawiali z robotnikami, poili ich wódką. Przed zimą nie zdążyli skończyć wszystkich budynków; odłożono wesele do lata; w lecie umarł Iwan Andrejewicz; odłożyli ślub do wiosny; w zimie przyjechał Wasili Iwanowicz. Przedstawiono mu Rogaczewa; przyjął go zimno i niedbale, a później, tak dalece go przestraszył swem dumnym obejściem się, że biedny Rogaczew drżał jak liść kiedy się on tylko pokazał, milczał i wymuszenie się uśmiechał. Wasili raz prawie że go zmiażdżył zupełnie — robiąc z nim zakład że on nie jest w możności przestać się uśmiechać. Biedny Paweł Afanasiewicz o mało co nie zapłakał tak się zmieszał, ale rzeczywiście! uśmiech, najgłupszy nateżony uśmiech nie chciał ustąpić z jego spoconej twarzy. A Wasili z wolna bawił się końcami krawata i patrzył już na niego nadzwyczaj pogardliwie.

Ojciec Pawła Afanasiewicza dowiedział się także o przybyciu Wasila i po paru dniach — dla „większej powagi“ udał się do Łuczynówki, z zamiarem: „przywitać kochanego gościa po przybyciu do rodzinnej palestyny.“

Afanasi Łukicz słynął w całej okolicy ze swego krasomówstwa, to jest umiejętności wypowiedzieć bez zajaknienia dość długą i mądrze ułożoną mowę, z małą przymieszką *książkowych słówek*. Niestety, tą razą nie podtrzymał on swej sławy, zmieszał się bardziej jeszcze niż syn Paweł Afanasiewicz; pomruczał coś niezrozumiałego i chociaż nigdy nie pił wódki, ale teraz, „dla konte-

nansu“ wypił kieliszek (zastał Wasila przy śniadaniu)— chciał przynajmniej chrząknąć z pewną samodzielnością, lecz nie wydał najmniejszego głosu.

Wyjeżdżając do domu, Paweł Afanasiewicz szepnął do ojca: „cóż ojciec“ Afanasi Łukicz z gniewem odpowiedział mu także szeptem: „i... nie mów nawet.“

Rogaczewy zaczęli rzadziej jeździć do Łuczynówki. Zresztą Wasili nie tylko ich przerażał; w swoich braciach, w ich żonach, a nawet i w samej Annie Pawłównie wzbudzał kłopotliwą, pomimowolną niezręczność... do tego stopnia, że zaczęto go unikać;— Wasili musiał to zauważyć, ale na pozór nie miał zamiaru zmieniać swoje postępowanie — gdy nagle, na początku wiosny stał się znów przyjacielskim, serdecznym i miłym; takim, jakim go dawniej widziano....

Pierwszym objawem tej nagłej zmiany był niespodziewany przyjazd Wasila do Rogaczewych. Afanasi Łukicz stehórzył jak zwykle na widok powozu Łuczynowa, ale trwoga jego prędko przeszła. Nigdy Wasili nie był bardziej przyjemnym i wesołym. Wziął młodego Rogaczewa pod rękę, poszedł z nim oglądać budynki, rozmawiał z cieślami, dawał im rady, sam brał topór, kazał sobie pokazać konie Afanasia Łukicza, i w ogóle swoim przyjacielskim obejściem, doprowadził dobrodusznych ludzi do tego, że obaj po kilkakrotnie go uściskali.

W domu Wasili w kilka dni także po dawnemu zaprzątnął wszystkim głowy, przedsiębrał rozmaite komiczne zabawy, sprowadził muzykantów, spraszał sąsiadów i sąsiadki, opowiadał staruszkom najpociesniej miejskie plotki, zalecał się nieco do młodych; wymyślał zabawy których dotąd nie było, fajerwerki i t. d. słowem, ożywiał wszystkich i wszystko. Smutny i ponury dom Łuczyno-



wych przemienił się nagle w jakieś szumne, pyszne, czarujące mieszkanie, o którym zaczęto mówić w całej okolicy. Nagła ta przemiana wielu zdziwiła, wszystkich uradowała; zaczęto rozmaicie mówić; bliżsi twierdzili że Wasila Iwanowicza dotychczas dręczyło jakieś tajemne zmartwienie, że zdarzyła mu się sposobność powrotu do stolicy.... ale, prawdziwej przyczyny zmiany Wasila Iwanowicza nikt nie odgadł.

Panowie, Olga Iwanówna była wcale niczego.

Zresztą piękność jej więcej polegała na niezwyklej delikatności i świeżości ciała, na spokojnym powabie ruchów, niż na dokładnych konturach. Natura obdarzyła ją pewną samodzielnością; wychowanie jej—była sierotą—rozbudziło w niej ostrożność i pewność siebie.

Olga nie należała do liczby spokojnych i wiotkich kobiet, ale tylko jedno uczucie dojrzało w niej zupełnie: nienawiść ku dobroczyńcy. Zresztą i inne, bardziej kobiece namiętności, mogły wybuchnąć w jej duszy z niezwyklej chorobliwą siłą..... Nie miała ona jednak w sobie ani tego dumnego chłodu, ani tej zbitej mocy duszy, ani tej samolubnej koncentracji, bez których każda namiętność przemija bardzo prędko.

— Pierwsze porywy takich na wpół-czynnych, na wpół-biernych dusz bywają czasem nadzwyczaj bystre; ale zdradzają one samych siebie bardzo prędko, szczególnie wtenczas, kiedy rzecz dojdzie do nielitościwego zastosowania przyjętych prawideł, boją się następstw..... A tymczasem panowie, przyznaję się wam otwarcie, że na mnie kobiety takiego rodzaju robią najsilniejsze wrażenie..... (po tych słowach opowiadający wychylił szklanę wody.— „Głupstwo, głupstwo!“ pomyślałem, patrząc na jego zaokrągło-

ny podbródek:— na tobie kochanku, nic w świecie nie zrobi „najsilniejszego wrażenia.“)

Piotr Fedorowicz mówił dalej: panowie, ja wierzę w krew, w rassy. Olga Iwanówna więcej miała krwi niż, na przykład, przybrana jej siostra—Natalja. W czym więc objawiła się „ta krew“ zapytacie? we wszystkim: w zarysach rąk, ust, w dźwięku głosu, w spojrzeniu, w chodzie, w ubraniu głowy, nareszcie, w fałdach sukni. We wszystkich tych drobnostkach kryło się coś szczególnego, chociaż muszę się przyznać, że, ta... jakby to wyrazić? ta *distinction*, którą otrzymała w udziale Olga Iwanówna, nie zwróciła by uwagi Wasila, gdyby ją spotkał w Petersburgu.— Na wsi zaś, w pustyni, nietylko zwróciła jego uwagę—ale nawet była jedyną przyczyną tej zmiany, o której wam, panowie mówiłem dopiero.

Osądźcie sami: Wasili Iwanowicz lubił rozkoszować się życiem; musiał się więc nudzić na wsi, bracia jego byli to dobre chłopaki, ale bardzo ograniczeni: nie miał z nimi nic wspólnego; siostra Natalja przez trzy lata miała z mężem czworo dzieci: między nią i Wasilem była tedy przepaść.... Anna Pawłówna chodziła do cerkwi, modliła się, pościła i przygotowywała się do śmierci. Pozostawała tylko Olga, świeża, nieśmiała, milutka dziewczynka.....

Wasili z początku jej nie zauważył.... któż zresztą zwraca uwagę na wychowanicę, sierotę, i przybłądę? Raz, w pierwszych początkach wiosny, szedł po ogrodzie i laszczką ścinał żółte kwiatki cykorji, które tak licznie pojawiają się na ledwie zieleniejących łąkach. Spacerował po ogrodzie, przed domem, podniósł głowę—i.... zobaczył Olgę. Siedziała ona profilem w oknie i w zadumaniu głąskała pręgowanego kotka, który mruczac usadowił się na jej kolanach i z wielkim zadowoleniem podstawiał swój

nosek na wiosenne dość nawet gorące słońce. Olga Iwanówna ubrana była w białą ranną suknię z krótkimi rękawami; gole, blado różowe, nie zupełnie rozwinięte ramiona i ręce cieszyły się świeżością i zdrowiem; maleńki czepeczek ścisnął z lekka gęste, miękkie jedwabiste warstwy, twarz miała z lekka zaplonioną; niedawno bowiem zbudziła się. Delikatna i giętka jej szyja tak rozkosznie pochyliła się naprzód; tak pociągająco — niedbale, tak wstydliwie oddychały jej niezapięte piersi, że Wasili Iwanowicz (wielki znawca) pomimo woli zatrzymał się i zapatrzył. Nagle, przyszło mu do głowy że niewypada pozostawić Olgę Iwanównę w jej pierwotnem nieuctwie; że z niej może zrobić się z czasem najmilsza i najlepsza kobiątka. Podkradł się pod okno, podniósł się na palcach i na białej i gładkiej ręczce Olgi, trochę nad łokciem wycisnął milczący pocałunek. Olga krzyknęła i skoczyła, kotek podniósł ogon i wybiegł do ogrodu, Wasili Iwanowicz z uśmiechem trzymał ją za rękę... Olga zarumieniła się po uszy; on zaczął żartować z jej przestachu... prosił ją aby z nim pospacerowała; gdy nagle Olga dostrzegła niedbały swój ubiór i „szybciej od bystrej łani“ umknęła do drugiego pokoju.

Tegoż samego dnia Wasili udał się do Rogaczewych. — Nagle rozweselił się i rozjaśnił oblicze. — Wasili nie zakochał się w Oldze, nie! — ze słowem „miłość“ nie można żartować... znalazł sobie zajęcie, postawił sobie zadanie i cieszył się radością *człowieka czynu*. — Nawet nie pomyślał o tem, że ona jest wychowanicą jego matki, narzeczoną innego; — ani na minutę nie łudził się; bardzo dobrze wiedział że ona nie będzie jego żoną... Może uniewinniała go namiętność — co prawda nie szła-

chetna, nie wzniosła, ale zawsze dość silna i męcząca. — Ma się rozumieć że on zakochał się nie tak jak student; nie oddawał się nieokreślonemu zachwytowi; bardzo dobrze wiedział czego chciał i do czego dążył.

Wasili Iwanowicz znał sposób aby w jak najkrótszym czasie przyciągnąć do siebie nawet uprzedzonego lub nieśmiałego człowieka. — Olga wkrótce przestała się go żenować. — Wasili wprowadził ją w świat nowy. — Sprowadził dla niej fortepjan, dawał jej lekcye (sam dobrze grał na flecie) czytał jej książki długo z nią rozmawiał. . . . Biedna dziewczka dostała zawrotu głowy. — Wasili zdobył ją w zupełności. — Umiał z nią mówić o tem, co dotychczas było jej obcem, a mówił językiem dla niej zrozumiałym. — Olga pomалу zdecydowała się wypowiedzieć mu swe uczucia; on jej pomagał, podpowiadał słowa, których nie mogła znaleźć, nie zastraszał, to zatrzymywał, to podbudzał jej zapały. . . . Wasili zajmował się jej edukacją nie ze zbytecznego zachcenia, aby rozbudzić i rozwinąć jej zdolności; chciał ją po prostu nieco zbliżyć do siebie, a wiedział przytem, że nie doświadczoną, nie śmiałą lecz samolubną dziewczynę łatwiej uwieść rozumem, niż sercem. — Choć by nawet Olga była istotą niezwykłą, Wasili nie mógł by tego zauważyć, dla tego że obchodził się z nią jak z dzieckiem; ale wy panowie już wiecie, że Olga nie miała nic szczególnie godnego uwagi.

Wasili starał się według możliwości działać na jej wyobraźnię i często wieczorem, wychodziła ona od niego z takim wichrem nowych obrazów, słów i myśli w głowie, że nie była w stanie zasnąć aż do

rana, i tęskno wzdychając, bezustannie przykładała palące skronie do zimnych poduszek, albo wstawiała, szła do okna i ze strachem a chciwie spoglądała w ciemność. — Wasili zapełniał każdą chwilę jej życia, o nikim innym myśleć nie mogła. — Na Rogaczewa wkrótce przestała zwracać uwagę. — Wasili jako człowiek zręczny i przebiegły, w jego obecności nie rozmawiał z Olgą; a tylko rozśmieszał go do łez, lub zażądał jakąś świetną zabawę, spacer konno, pływanie w nocy po rzece z latarniami i muzyką — słowem, nie pozwalał się opamiętać Pawłowi Afanasiewiczowi. — Pomimo jednak całej zręczności Wasila, Rogaczew ze smutkiem poznał, że on, narzeczony i przyszły mąż Olgi, stał się poniekąd obcym dla niej człowiekiem. — Ale wskutek niezmiernej swej dobroci, obawiał się ją zmartwić wymówką, chociaż w istocie kochał ją i troszczył się o jej przywiązanie. — Sam na sam z nią będąc nie wiedział co powiedzieć, starał się tylko zawsze robić jej grzeczności. — Przeszło dwa miesiące... Olga straciła wreszcie wszelką samoistność, wszelką wolę; słaby i milczący Rogaczew nie mógł być jej podporą; nie chciała nawet stawić oporu oczarowaniu; z zamierającym sercem bezwarunkowo oddała się Wasilowi....

Olga Iwanówna prawdopodobnie poznała wt czas słodczye miłości; ale nie na długo. — Chocia Wasili, nie mając innego zajęcia — nie tylko że jej nie porzucił, ale nawet przywiązał się do niej i troskliwie ją kołysał, ale sama Olga do tego stopnia zapomniała się że nawet w miłości nie znajdowała spokoju i nie mogła oderwać się od Wasila, — Zaczęła się bać wszystkiego, nie śmiała myśleć; nie

rozmawiała o niczem, przestała czytać; smutek spożywał ją w milczeniu. — Niekiedy udawało się Wasilowi zmusić ją aby zapomniała o wszystkim i wszystkich; ale na drugi dzień zaraz znajdował ją bladą, milczącą, z zimnemi rękami, z bezmyślnym uśmiechem na ustach... Nadszedł dość trudny czas dla Wasila; ale żadne trudności nie mogły go ustraszyc. — Skupił się w sobie jak wytrawny gracz. — Nie mógł nic liczyć na Olę Iwanównę; ciągle się bowiem zdradzała, bladła, czerwieniła się i płakała.... nowa ta rola była nad jej siły. — Wasili działał za dwóch; w jego głośniejszej i szumnej wesołości tylko doświadczony badacz mógł by dostrzedz gorączkowe naprężenie: bawił się braćmi, siostrami, Rogaczewymi, sąsiadami, sąsiadkami — jak pionkami; wiecznie był na straży, nie tracił ani jednego spojrzenia, ani jednego ruchu, choć na pozór zdawał się być najswobodniejszym człowiekiem; z każdym rankiem rozpoczynał walkę i każdego wieczora tryumfował ze zwycięstwa. — Ta straszna czynność bynajmniej go nie przeciążała; spał cztery godziny na dobę, jadł mało i był zdrow, świeży i wesoły. — Tymczasem dzień ślubu się zbliżał: Wasili zdołał przekonać samego Pawła Afanasiewicza o konieczności odłożenia go na później; potem posłał go za sprawunkami do Moskwy, sam zaś prowadził korespondencję z Petersburgskimi przyjaciółmi.

Troszczył się nie tyle przez współczucie, dlaeł iOlgi z amatorstwa i upodobania w troskach i trwodze. Niezależnie od tego Olga Iwanówna zaczęła mu się przykrzyć i już nieraz, po szalonym wybuchu namiętności, spoglądała na nią tak jak na Rogaczewa. Łuczynów zawsze pozosta-

wał zagadką dla wszystkich; w samym chłodzie jego nieubłaganej duszy czuć było obecność dziwnego prawie poładniowego płomienia; a w najszańszym ogniu namiętności powiewał chłód od tego człowieka. Przy innych po dawnemu protegował Olgę, ale na osobności igrał z nią jak kot z myszą, albo straszył sofizmatami, albo ciężko i zjadliwie nudził, albo wreszcie znów rzucał się do jej nóg, porywał ją jak wicher słomkę i nie udawał wtedy zakochanego.... ale w istocie zamierał....

Raz, dość późno wieczorem, Wasili siedział sam w swoim pokoju i z zajęciem odczytywał ostatnie, otrzymane z Petersburga listy, — gdy nagle drzwi z cicha się otworzyły i weszła Pałaszka, garderobiana Olgi.

— Czego chcesz? zapytał Wasili dość surowo.

— Pani prosi pana do siebie.

— Teraz nie mogę.— Idź precz.... Czemu stoisz? dodał, widząc że Pałaszka nie wychodzi.

— Pani kazała mi powiedzieć, że ma coś bardzo pilnego.

— Cóż tam takiego?

— Zechciej pan sam zobaczyć....

Wasili wstał, z gniewem wrzucił listy do toaletki i udał się do Olgi Iwanówny. Siedziała sama w kącie— blada i nieruchoma.

— Czego pani sobie życzy?.... zapytał ją nie bardzo uprzejmie.

Olga spojrzała na niego i wstrząsnawszy się zakryła oczy.

— Co pani jest?... Co tobie Olga?

Wziął ją za rękę.... Ręka Olgi zimna była jak lód... Chciała przemówić.... głos jej zamarł....

Biedna kobieta nie mogła mieć już żadnej wątpliwości o swoim stanie.

Wasili zmięsział się nieco. Pokój Olgi Iwanówny znajdował się o dwa kroki od sypialni Anny Pawłówny.

Wasili ostrożnie usiadł przy Oldze, całował i rozgrzewał jej ręce, szeptem upewniał. Słuchała go milcząc i wzdrygając się z lekka. We drzwiach stała Pałaszka i obcierała łzy w cichości. W sąsiednim pokoju ciężko i równo szedł zegar i słychać było chrapanie śpiącego. Zdrętwienie Olgi rozwiązało się wreszcie łzami i głuchem łkaniem. Łzy to burza: po nich człowiek zawsze spokojniejszy.

Gdy Olga Iwanówna uspokoiła się nieco i tylko rzadka dreszczowo szlochała jak dziecko, Wasili ukląkł przed nią i pieścizotami, czulemi obietnicami uspokoił ją zupełnie, napił ją, położył w łóżko i wyszedł. Całą noc nie rozbierał się, napisał dwa czy trzy listy, spalił dwa czy trzy papiery, wyjął złoty medaljon z portretem kobiety czarnobrewej i czarnookiej z twarzą lubieżną i śmiałą, długo przypatrywał się jej rysom i zadumany chodził po pokoju. Na drugi dzień przy herbacie z wielkiem niezadowoleniem zobaczył zaczerwienione i napuchłe oczy, oraz bladą, wystraszoną twarz biednej Olgi. Po śniadaniu zaproponował jej spacer po ogrodzie. Olga poszła za Wasilem jak posłuszna owca. Kiedy zaś po dwóch godzinach wróciła z ogrodu—była zmienioną nie do poznania; powiedziała do Anny Pawłówny że jest słabą i położyła się w łóżko. W czasie spaceru Wasili z należytą skruchą wyznał jej, że się potajemnie już ożenił— a był tak dobrze kawalerem jak i ja. Olga Iwanówna nie zemdląła—mdleją tylko na scenie; lecz nagle skamieniała, chociaż nie tylko że nie miała nadziei wyjścia za mąż za



Wasila Iwanowicza, ale nawet bała się o tem pomyśleć. Wasili zaczął dowodzić jej konieczności rozstania się z nim i ślubu z Rogaczewem. Olga patrzyła na niego z niemą trwogą. Wasili mówił zinnno, dzielnie, zasadnie; obwiniał się, udawał skruczę — lecz kończył wszystkie swe dowodzenia następującemi słowy: „przeszłość nie wróci; potrzeba działać.“ — Olga przestała być sobą; strach i wstyd ją ogarnął; trawiła ją ciężka rozpacz; pragnęła śmierci — i z udęczeniem oczekiwała decyzji Wasila.

— Należy do wszystkiego przyznać się przed matką — powiedział do niej wreszcie.

Olga zdrętwiała; nogi pod nią ugięły się.

— Nie bój się, nie bój, mówił Wasili, spuść się na mnie, ja cię nie opuszczę, ja wszystko uporządkuję.... mie we mnie nadzieję.

Biedna kobieta spojrzała na niego z miłością.... tak, z miłością, i z przychylnością głęboką, chociaż już bez nadziei.

— Ja wszystko, wszystko urządzę, powiedział do niej przy pożegnaniu Wasili i ostatni raz pocałował zimne jej ręce.

Na drugi dzień rano, Olga tylko co wstała kiedy drzwi jej otworzyły się.... i.... Anna Pawłówna ukazała się na progu. Podtrzymał ją Wasili. W milczeniu doszła do fotelu i usiadła. — Wasili stał obok niej. Zdawał się być spokojnym; brwi miał zmarszczone i usta z lekka otwarte. Anna Pawłówna blada, rozgniewana, chciała przemówić — lecz głos ją zawodził. Olga z przerażeniem ogarnęła wzrokiem swoją dobrodziejkę i kochankę: serce w niej zamarło; z krzykiem padła w środku pokoju na kolana i zakryła twarz rękami.... „Tak, — prawda... prawda!“... szepnęła Anna Pawłówna i nachyliła się ku niej....

„odpowiadaj“— dodała, ze srogością schwywszy Olgę za rękę.

— Matko ! — rozległ się miedziany głos Wasila, obiecałaś mi że ją nie obrazisz.

— Ja chcę.... przyznawaj się... przyznawaj... czy prawda?... prawda?...

— Matko!... wspomnij... wycodził z wolna Wasil.

To jedno słowo silnie wstrząsnęło Annę Pawłównę. Przycisnęła się do poręczy fotelu i załkała.

Olga Iwanówna powoli podniosła głowę i chciała się rzucić do nóg staruszki, ale Wasili ją zatrzymał, podniósł i posadził na innem krześle.

Anna Pawłówna płakała dalej i szeptała słowa bez związku.

— Posłuchaj, matko, odezwał się Wasili—nie zabijaj się; złemu można zaradzić.... Jeżeli Rogaczew....

Olga Iwanówna drgnęła i wyprostowała się.

— Jeżeli Rogaczew, ciągnął Wasili, znacząco spojrzawszy na Olgę,—wyobraził sobie, że może bezkarnie shańbić całą rodzinę....

Olgę Iwanównę dreszcz przebiegł.

— W moim domu, jęknęła Anna Pawłówna...

— Uspokój się matko.— On skorzystał z jej niedoświadczenia, z jej młodości, on, ty chcesz coś powiedzieć? dodał, widząc że Olga zwraca się ku niemu....

Olga Iwanówna upadła na krzesło.

— Natychmiast jadę do Rogaczewa. Ja go zmuszę aby się dziś jeszcze ożenił. Bądźcie pewne że ja mu nie pozwolę z nas szydzić....

— Lecz... Wasili Iwanowicz... pan... szepnęła Olga.

Wasili cisnął na nią przeciągłe i zimne spojrzenie i ona znów zamilkła.

— Matko! daj mi słowo, że nie będziesz jej niepokoić do mojego przyjazdu. Patrz,— ona ledwie żyje, a i ty powinnaś odpocząć. Liczcie na mnie; odpowiadam za wszystko; w każdym razie czekajcie mego powrotu. Powtarzam ci matko,—nie zabijaj ani jej, ani siebie i... spuść się na mnie.

Zbliżył się do drzwi i zatrzymał się.

— Matko, powiedział, pójdź ze mną, zostaw ją samą, proszę cię. Anna Pawłówna wstała, zbliżyła się do obrazu, złożyła pokłon i wolno wyszła za synem. Olga w milczeniu i nieruchomo wiodła za nią oczami.

Wasili szybko wrócił się, schwycił ją za rękę, szepnął do ucha „licz na mnie a nie wydawaj nas“ i natychmiast oddalił się.— „Boursié!“ krzyknął zbiegając ze schodów, „Boursié!“

W kwadrans siedział ze swoim służącym w powozie.

Starego Rogaczewa tego dnia nie było w domu;— pojechał do powiatowego miasta kupować materiał na surduty dla czeladników. Paweł Afanasiewicz siedział w swoim gabinecie i oglądał kolekcję spłowiałych motyli. Podniósłszy brwi i wyciągnąwszy wargi, ostrożnie przewracał szpilką kruche skrzydełka „nocnego sfinksa“ gdy poczuł na swym ramieniu nie dużą ale ciężką rękę.

Obejrzał się—przed nim stał Wasili.

— Dzień dobry, Wasili Iwanowicz, wymówił z pewnym zadziwieniem.

Wasili popatrzył na niego i usiadł przed nim na krześle.

Paweł Afanasiewicz uśmiechnął się.. lecz spojrział na Wasila, otworzył oczy i złożył rękę.

— A powiedz pan, Pawle Afanasiewicz, przemówił nagle Wasili:— czy prędko masz zamiar się ożenić?...

— Ja?... prędko... rozumie się... ja, z mojej strony... zresztą jak pan i pańska siostra.... ja, z mojej strony... gotów choćby jutro.

— Doskonale, doskonale. Pan jesteś człowiekiem bardzo niecierpliwym.

— Jakto?

— Słuchaj pan, dodał Wasili Iwanowicz, wstając:— ja wiem wszystko, pan mnie rozumiesz, ja panu każę bezwzględnie jutro ożenić się z Olgą.

— Pozwól pan, jednakże, przerwał Rogaczew, nie podnosząc się z miejsca;— pan mi każesz? ja sam pragnąłem ręki Olgi Iwanówny, i niema co mi rozkazywać.... przyznam się że ja pana nie rozumiem.

— Nie rozumiesz?

— Nie, naprawdę nie rozumiem.

— Czy ty mi dajesz słowo że ożenisz się z nią jutro?

— Zlituj że się panie Wasili Iwanowicz... wszakżeś pan sam kilka razy odkładał nasze wesele? Gdyby nie pan, dawno by już było po ślubie. Teraz nie myślę odmawiać. Co znaczą pańskie groźby, pańskie żądania?

Paweł Afanasiewicz obtarł pot z czoła.

— Czy ty mi dajesz słowo, mów: tak, albo nie?! powtórzył po syllabie Wasili.

— Przepraszam... daję, ale....

— Dobrze.— Pamiętaj że.... A ona do wszystkiego się przyznała.

— Kto się przyznał?

— Olga Iwanówna.

— Do czego się przyznała?...

— Po co pan przedemną udajesz? Czym ja względem pana obcy!!

— Co udaje? ja pana nie rozumiem, nie rozumiem, najzupełniej nie rozumiem. Do czego mogła się przyznać Olga Iwanówna?...

— Do czego? Nudzisz mnie pan! Wiadomo panu do czego.

— Niech mnie Bóg skarże!...

— Nie, ja cię ukarzę, ja cię zabiję—jeżeli się z nią nie ożenisz.... rozumiesz?...

— Jakto!... Paweł Afanasiewicz porwał się i stanął przed Wasilem.

— Olga Iwanówna.... pan mówisz...

— Zręcznyś ty braciszku, przyznaję że zręczny,— Wasili z uśmiechem poklepał go po ramieniu— nie daremnie na pozór spokojny...

— Boże mój, Boże!... Pan mnie od rozumu odprowadzasz.... Co pan chcesz powiedzieć, wytłómacz się na Boga!... Wasili nachylił się do niego i szepnął mu coś do ucha.

Rogaczew krzyknął.

— Jakto?... ja!...

Wasili tupnął nogą.

— Olga Iwanówna?... Olga?...

— Tak,... pańska narzeczona....

— Moja narzeczona... Wasili Iwanowiczu!... ona... ona... Ja jej znać nie chcę,... krzyknął Paweł Afanasiewicz. Bóg z nią! za kogóż mnie pan masz?... Mnie oszukać, mnie.... Olga Iwanówna, czy panu nie grzech, czy pan masz sumienie.... (Izy trysnęły z jego oczu.)

— Dziękuję panu, dziękuję... A ja jej znać teraz nie chcę! niechcę! niechcę! nie mów pan.... Ach, czego ja do-  
czekałem.... Dobrze, dobrze!....

— Dosyć tej dziecinady, zauważył zimno Wasili. Pa-  
miętaj pan, dałeś mi słowo.. jutro ślub.

— Nie, tego nie będzie! Dosyć Wasili Iwanowiczu,  
znów panu powtorzę—za kogóż mnie pan bierzesz? za  
wiele honoru.... dziękuję uniżenie. Przepraszam.

— Jak chcesz! zawołał Wasili. Dobywaj pan szpadę.

— Jakto szpadę.... na co szpadę?...

— Na co? to dobre, na co! oto na co!

Wasili wyjął francuzką, cienką, gibką szpadę i z lek-  
ka zgiął ją o podłogę.

— Pan chcesz.... ze mną.... bić się.

— Rozumie się.

— Ależ, Wasili Iwanowicz, zmiluj się, wejdź w moje  
położenie. Jakże ja mogę, osądź pan sam, po tem co mi  
powiedziałeś..... jestem uczciwym człowiekiem, jestem  
szlachcicem.

— Pan jesteś szlachcicem, jesteś człowiekiem honoru—  
więc racz się bić ze mną.

— Wasili Iwanowiczu!...

— Pan, zdaje mi się tchórzysz, panie Rogaczew.

— Wcale nie tchórzę. Pan chciałeś mnie nastraszyć:—  
ja go nastraszę — stchórzy, i zgodzi się zaraz... Nie, Wa-  
sili Iwanowiczu, ja taki sam szlachcic jak i pan, chociaż  
nie otrzymałem edukacji w stolicy, nastraszyć się mnie  
nie uda, daruj pan.

— Bardzo dobrze, odpowiedział Wasili,— gdzie pań-  
ska szpada?

— Jeroszka! krzyknął Paweł Afanasiewicz.

Wszedł służący.

— Daj mi szpadę—tam—wiesz—na górze... pędzej!....

Jeroszka wyszedł. Paweł Afanasiewicz nagle zbladł, śpiesznie zdjął szlafrok, włożył surdut brązowy z wielkimi guzikami... zawiązał krawat... Wasili patrzył na niego i przebierał palcami prawej ręki.

— Więc cóż?... będziem się bić Pawle Afanasiewiczul

— Bić się więc bić, odpowiedział Rogaczew i pędko zapiął kamizelkę.

— Ej! Pawle Afanasiewiczu, posłuchaj mej rady: ożeń się.... co ci tam.... A ja.... wierz mi....

— Nie, odparł Rogaczew.— Wiem o tem że pan mnie albo zabijesz, albo ciężko ranisz; ale honoru swego plamić nie myślę, mam umierać to umrę.

Wszedł Jeroszka i drżący podał Rogaczewowi starą szpadkę w skurzonej popękanej pochwie. Jeroszka odszedł do drzwi i zapłakał. Paweł Afanasiewicz wyrzucił go z pokoju.

— Jednakże, Wasili Iwanowiczu, zauważył z pewnym smutkiem:— nie mogę zaraz się bić z panem, bądź pan łaskaw odłożyć pojedynek do jutra; ojca niema w domu; a i interessa moje na wszelki przypadek nieźle by było uporządkować.

— Pan jak widzę znów zaczynasz tchórzyć!

— Nie, nie Wasili Iwanowicz, ale osądź pan sam....

— Słuchaj no pan, krzyknął Łuczynow: albo daj słowo że zaraz się ożenisz, albo się bij... albo ja cię wymłócę kijem jak tchórza, rozumiesz pan?

-- Chodźmy do ogrodu, odpowiedział przez zęby Rogaczew.

Ale nagle drzwi się otworzyły i stara niańka Jefimowna wpadła do pokoju, padła przed Rogaczewem na kolana, chwyciła go za nogi....

— Ojcie mój! zawołała, dzieciątko moje... co ty chcesz robić? nie gub nas! przecież on cię zabije mój ty gołąbku! Rozkaż nam tylko, a my tego zuchwalca czapkami zarzucamy.... Pawle Afanasiewicz, bój się Boga! We drzwiach pokazało się mnóstwo białych i przerażonych twarzy.... pokazała się nawet ryża broda starosty...

— Puść mnie, Jefimowna, puść! mruknął Rogaczew.

— Nie puszczę, nie, co ty?. A co na to powie Afanasi Łukicz? On nas wszystkich zabije... Czegóż wy stoicie? Weźcie nieproszonego gościa pod rączki i wyprowadźcie precz z domu....

— Rogaczew! krzyknął groźnie Wasili.

— Czyś ty zwarzowała Jefimowna, ty mnie hańbisz, zlituj się — przemówił Paweł Afanasiewicz.— Idź, idź z Bogiem i wy idźcie precz, słyszycie?....

Wasili Iwanowicz prędko podszedł do otwartego okna, dobył srebrną świstawkę i gwiznął..... Boursié odezwał się niedaleko. Łuczynow natychmiast odwrócił się do Pawła Afanasiewicza.

— Na czym się ta komedja skończy?

— Wasili Iwanowicz, ja przyjadę do pana jutro—cóż mam zrobić z tą warjatką!...

— E, ja widzę że z panem niema co mówić powiedział Wasili i podniósł kij....

Paweł Afanasiewicz porwał się, odtrącił Jefimownę, chwycił szpadę i rzucił się przez drugie drzwi do ogrodu.— Wasili pobiegł za nim.— Wpadli oba do drewnianej altany, pomalowanej na sposób chiński, zamknęli się i obnażyli szpady.— Rogaczew brał niegdyś lekcje fechtunku, ale teraz zaledwie umiał uderzyć jak potrzę-



ba.— Ostrza skrzyżowały się.... Wasili widocznie ba-  
wił się szpadą Rogaczewa.— Paweł Afanasiewicz zady-  
szał się, zbladł i znękany patrzył w twarz Łuczynowa.—  
Tymczasem w ogrodzie rozlegały się krzyki; tłum ludu biegł do altanki.— Rogaczew usłyszał prze-  
rażający krzyk starca.... poznał głos ojca.— Afanasi  
Łukicz bez czapki, z najeżonemi włosami biegł przed  
wszystkiemi, rozpaczliwie machając rękami...

Wasili silnem i niespodziewanem uderzeniem wy-  
trącił szpadę z ręki Pawła Afanasiewicza.

— Żeń się, krzyknął do niego.

— Nie ożenie się, szepnął Rogaczew, zakrył oczy i  
zatrząś się.

Afanasi Łukicz zaczął wylamywać drzwi altany.

— Nie chcesz, krzyknął Wasili.

Rogaczew poruszył głową przecząco.

— Więc niech cię djabli porwą!..,

Biedny Paweł Afanasiewicz upadł martwy; szpada  
Łuczynowa przeszła mu serce.... Drzwi zatrzeszczały,  
stary Rogaczew wpadł do altany, ale Wasili zdołał już  
wyskoczyć oknem....

Po dwóch godzinach, wszedł do pokoju Olgi Iwa-  
nówny.... ona z przerażeniem rzuciła się na jego spot-  
kanie.... Wasili w milczeniu ukłonił się jej, dobył szpa-  
dy i przebił w tem miejscu gdzie serce portret Pawła  
Afanasiewicza.

Olga krzyknęła i padła na ziemię bez czucia....

Wasili poszedł do Anny Pawłówny;—zastał ją w ka-  
pliczce.

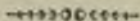
„Matko“ powiedział „jesteśmy pomszczeni!“

Biedna staruszka drgnęła i dalej zaczęła się modlić.

W tydzień, Wasili wyjechał do Petersburga,— a w dwa lata powrócił na wieś dotknięty paraliżem który mu odjął mowę.— Nie zastał już w liczbie żyjących ani Anny Pawłówny ani Olgi—i niezadługo sam umarł na rękach Judicza, który go karmił jak dziecko i sam jeden tylko pojmował jego niezrozumiałą paplaninę.



# POEZJE.



Wyjątek z poematu A. Puszkina pod tytułem:  
„Пиръ во время чумы.”—przekład z Ruskiego.

Gdy zima, śniegów wszechwładna królowa,  
Jak wódz zastępy prowadzi mrozące  
I już nas schwycić w swój uścisk gotowa—  
Spotyka ognie z kominów ziejące;  
Które gdy ruszty liżą płomieniami  
Budzi się żądza balów między nami.—

Gdy dziś zaś dżuma nas dreszczem przejmuje  
Podając wyschłe do uścisku dłonie  
I wczas z obfitych plonów tryumfuje  
I zdala ku nam trupim technieniem wionie,  
Łopatą z mogił dzwoniąc w dzień i w nocy;—  
Jak ją przywitać, z kąd żądać pomocy?....

Tak jak kapryśne odstraszały śniegi,  
Drzwi naszych mieszkań przed dżumą zawalmy,

Należmy w zgodzie puchary po brzegi  
 Nektarem żyły wesoło rozpalmy;  
 A zgotowawszy bankiety i bale  
 Królestwo dżumy ogłosim w zapale.—

Są w boju chwile wspaniałych zachwyków,  
 Czy nad przepaścią kto stał w upojeniu,  
 Lub rozwścieczonych wód szukał błękitów,  
 Znalazł przyjemność w okropnem wrazeniu,  
 Lub w spiekach Arabii odszukał ekstazy,  
 Ten znajdzie toż samo w oddechu zarazy.—

I wszystko, wszystko, co zgubą zagraża,  
 Dla serc śmiertelnych przyjemność ukrywa  
 I niepojęte rozkosze wytwarza:  
 Dowód, że dusza w wieczności szczęśliwa.  
 A ten jest wielkim, kto w niemem zdumieniu  
 Chwil tych był panem, kto był w zachwyceniu.

Więc cześć ci dżumo! przyjdź tve królowanie!  
 Nas nie zatrwożą ciemnice, kurhany,  
 Nas nie przeraża tve dzielne wołanie,  
 My do dna puchar wychylim nalany  
 I tchnienia kobiet usta spragnionemi  
 Choć może pełne zarazy—połkniemy.—

### TRZY NATCHNIENIA.

Kiedy wieszcz lutnię weźmie do ręki,  
 Gdy złotych strun jej ciche rozdźwięki  
 Chce złączyć z harmonją pienia;  
 To cóż mu w duszy ogień roznieci,

Jakiemże skrzydłem z ziemi uleci  
W Bozką krainę marzenia.

O! trzy są gwiazdy, których promienie  
Zlewając z góry wieszczą natchnienie  
Świecą dla śpiewaka duszy;  
Tak! trzy są gwiazdy, światłość ich cicha  
Silnie w poety piersiach oddyc ha  
Gdy złote struny poruszy.

Pierwszą jest gwiazdą widok natury:  
Zielone łąki, doliny, góry,  
Szum gajów, szelest strumienia.—  
Kto zimnem okiem widzi te wdzięki,  
Ten niech nie bierze lutni do ręki  
Niema on iskry natchnienia!

A drugą gwiazdą są lubej oczy,  
Blask ich czarowny, ogień uroczy  
Silnie dla serca zaświeci;  
O! kto nie zaznał co ich potęga,  
Ten niech po lutnię próżno nie sięga  
W krainę marzeń nie wzleci!

Trzecią zaś gwiazdą jest czucie święte  
Z mlekiem wysane, z życiem poczęte,  
Społeczność jego podniętą!  
W kim się, ten święty ogień nie żarzy,  
Wzruszać strun lutni niech się nie waży,  
Nie jest, nie będzie poetą!

Bo gdy wieszcz lutnię bierze do ręki,  
Gdy złotych strun jej ciche rozdźwięki  
Połączy z harmonią pienia;

Spółeczność tylko zapał roznieci,  
Skrzydłem miłości tylko uleci,  
Z ziemi w krainę marzenia.—

*J. B.*

## NIE W PORĘ.

Mówiłem: luba, pójdziem życia drogą  
Złączeni, przez te przepaście i skały,  
Ze śmiechem spójrzym na przyszłość złowrogą  
Gdy serca nasze w jedno by się złąły.  
Jeśli los straszny ciśnie mnie na ciernie  
I w przeznaczeniu wskaże krwawe dzieje,  
To cios mnie chybi, o chybi bezmiernie,  
Bo ja pod ciosem z wzgardą się rozśmieję.  
A jeśli w końcu zmordowani, drogą,  
Będziemy stąpać utrudzoną nogą  
I zgon czuć będę mego życia blizki  
Drwię, bo poczuję czułe twe uściski.  
Tak myślałem, ach, dusza młoda marzy!  
Szalony! Chciałem jak dziecię księżycą  
Co swym odbiciem wodę studni darzy:  
Tyś odwróciła z szyderstwem swe lica,  
Skarg mego serca tyś słuchać nie chciała,  
Bo idealne. . . . .

. . . . .  
Dziś, gdy świat zrobił mnie zimnym jak kamień,  
Ty chcesz się wrócić— być mym ideałem—  
Teraz ja niechęć złudzeń i omamień,  
Bo uczuć nie mam, bo je już rozdałem.

*A. R.*

## NIE W SZPITALU

wiersz nie Mirona.

Matka, niby nad synem kochanym płakała:  
 Że gardził zwykłą pracą a rwał się namiętnie  
 Do kieszeni, co cudzą ruble zawierała.  
 A świat co? Świat się na to patrzył obojętnie.—  
 „Lecz idź, mówiła z cicha, a niech kodeks kary  
 Chwyta w sieć tych co nie są tak jak ty majstrami”  
 I on poszedł, pokazać że kradnie jak stary.  
 A świat? Nawet mu nie przyklasnął zimnymi rękami.  
 Lecz wkrótce, dramat życia wysnuł się do końca  
 I młodzieńca schwytawszy gdy łupił kieszenie  
 Pod klapę posadzili, w hańbiące więzienie.—  
 A świat? Wtedy zabronił mu widoku słońca.  
 I gdy choroba w śmierci łożę go wrzuciła  
 Dano mu kubrak szary miast wieńca z wawrzynu,  
 A matka co? skarbonkę z pieniędzmi schwyciła  
 I rzekła: „to zapłata za ciebie mój synu!”



# HRABIA.

(NOWELLA.)

Hrabia przychodził co wieczór do restauracji, jeżeli tylko nie do handlu win, i kazał sobie dawać pół butelki wina; nalewał kieliszek, brał trochę w usta, krzywił się, wypływał na tackę i płacąc trzy ruble wychodził na ulicę; przechodził parę razy przez aleje, siadał na ławce, zapalał dwuzłotowe cygaro, ziewał trzy razy i wracał do domu. Czasami wyjeżdżał konno półtóry wiorsty za miasto. Więcej nie robił nic ten człowiek.— Miał on siostrę, ale przed dwoma laty, obecnie zaś nieprzyznawał się do niej, gdyż wyszła za mąż za urzędnika, choć bardzo porządnego i zamożnego człowieka, w oczach jednak hrabiego był to grzech, nie dający się niczem zgładzić; do śmierci się z nią nie pogodził.

Hrabia, według wszelkiego prawdopodobieństwa, miał pieniądze, ale tego na pewno twierdzić nie mogę, wiem tylko że je wydawał z wrodzoną rozrzutnością, cała rzecz w tem, czy to były jego.

Życiorys naszego *bohatera* w kilku wierszach da się pomieścić: jego ojciec był to człowiek bardzo zacny, ale



zbyt zajęty interessami i troską o powiększenie majątku, ażeby miał czas zwracać uwagę na wykształcenie syna.— Do lat dziesięciu miał go więcej na oku, trzymał w domu, a przychodni nauczyciele nie mogli mu bardzo przewrócić w głowie i pokierować na skończonego osła, w taki sposób, jak to robią przyjmowani do domu guwernerzy i guwernantki.— Po wstąpieniu do szkół uczył się dobrze, jak na jedynaka, przelazł z klasy do klasy jak to mówią *piecem* przez lat cztery.— Matka pieściła go tym bardziej że się dobrze prowadził.

Piąta klasa była dla hrabiego kamieniem probierczym, który ukazał zaśnieżoną miedź pod pozłaczanym jego charakterem (jeżeli to tylko był charakter).— Hrabia zakochał się w Olci, która, mówiąc nawiasem, była jedną z największych kokietek swojego czasu.— On szalał i ona szalała na pozór, lecz w gruncie zanosila się od śmiechu.— Jego wydalono z gimnazjum, ona współubolewała.— On wykradł ojcu kilkadziesiąt tysięcy a ona obiecała mu dać wykraść siebie, aby razem pojechać za granicę.— On wyjechał, ona została.— Trwoniąc skradzione pieniądze zdobył gdzieś (w Wiedniu podobno) szyk właściwy, maniery pańskie i tytuł hrabiego. Gdy wydał już wszystko, będąc z natury tchórzliwego serca i bojąc się głodu jak ognia, wrócił, przebłagał ojca i oto żyje jak powiedzieliśmy wyżej.—

Niewidziano go aby z kimkolwiek się zadawał.— Nie było człowieka, któryby mógł się pochwalić że rozmawiał z hrabią dłużej nad trzy minuty.—

Pytanie, jakim sposobem taki człowiek mógł trwać że już nie powiem żyć, bez towarzystwa, bez zajęcia i bez znaczenia.— Czem zapełniał dnie lub noce? Jeżeli w dzień spał, musiał w nocy czuwać, skoro nie spał potrzebował

myśleć? Tak by każdy sądził, tymczasem było przeciwnie:— hrabia miał cel, miał zadanie.— Dawniej postanowił sobie wynaleźć sposób ażeby istnieć bezczynnie i wynalazł, teraz postanowił odszukać sposób ażeby nie myśleć i nad skutecznieniem pomysłu pracował bezustannie i wytrwale.

O ile mogłem się dowiedzieć później, postępował w ten sposób: pisał na papierze wyrazy oznaczające najoderwańsze pojęcia i tak: Paryż, niedźwiedź, samowar, kurjer, proporcja, żelazo i t. d. po czem przeglądając to, starał się pomyśleć o każdym z tych rzeczowników, natychmiast przechodząc do drugiego; takie przerzucanie myśli bez zastanowienia, miało doprowadzić z czasem do niemyślenia, jeżeli tylko nie do bonifratrów.

Może hrabia swym wynalazkiem zbogaciłby ludzkość gdyby nie.... przypadek.

Było to w tym porządnym 1871 roku w czerwcu;— hrabia wyjechał aby odbyć swoje półtory wiorsty spaceru. Ziewając o ile mógł najlepiej po angielsku wypuszczał jednocześnie kłęby cygarowego dymu, co uważał za przywilej tylko wysoko urodzonych, gdy spotkał panią Dodo, o której słyszał, że się jak wiele innych kobiet szalenie w nim kocha; był jakoś w dobrym humorze i postanowił uciąć z nią romansik.— Gesagt, gethan; zlązł z konia, przywitał się z nią nieznając jej bynajmniej, co mu nawet pani Dodo wzięła za nowy dowód szarmanterji i zagranicznego szyku i w godzinę ta piękna para była już ze sobą na ty a ty.

Widywali się potem codziennie, czasem trzy razy na dzień po parę godzin za każdą razą, a jeżeli mąż p. Dodo wyjechał, widzieli się ciągle, i szło by im tak życie we-

soło nie na żarty, gdyby nie wyjazd męża p. Dodo który się przeciągnął aż do sześciu miesięcy.

Sto osiemdziesiąt dwa dni i pół przeleciało lotem błyskawicy: pan Dodo napisał ten pamiętny swój list do żony, który się kończył słowami: „jutro wracam.“— Pani Dodo była w sytuacji, w której mąż nie powinien ani jutro, ani pojutrze, ani za miesiąc nawet wracać.

Zadrżała, opinja publiczna była dla niej droższą niż roczna pensja męża (choć nie wiem czy on miał jaką pensję); radziła więc hrabiemu aby ją wykradł, ale dała mu tylko tym sposobem powód do serdecznego śmiechu.

— Cóż więc mam robić?— wołała w rozpaczy—radź, mów, rozkazuj,—słucham!

W łeb sobie palnąć! powiedział z uśmiechem ziewając hrabia.

— Tak, chcesz, dobrze! zgoda! i pani Dodo z trągizmem koniecznym w podobnych razach wybiegła do domu.

....Wieczorem, p. Kiroł, spotkawszy hrabiego na spacerze w alei, przystąpił śmielej niż zwykle, zdradzając jednakże niepewność i zaleknienie i po zwykłym ukłonie powiedział:— Czy słyszałeś hrabio o naszym wypadku? p. Dodo zastrzeliła się....

— Czy może być,—pewnie zwarjowała, żegnam pana.

. . . . .

W parę miesięcy potem patrzyłem jak hrabia przyłożył do ust pistolet, pociągnął za cyngiel i huknął strzał, który go życia pozbawił.

Niemyślcie ażeby hrabia zastrzelił się z nudów albo współczucia, bynajmniej.— Po prostu chciał uniknąć wymiaru sprawiedliwości, która go miała wziąć za koł-

nierz i drżącą ze strachu ręką wrzucił kulę w pustą móżgownicę.

Hrabia uważał za splamienie honoru małżeństwo siostry z urzędnikiem, a sam utrzymywał się z fałszerstwa. Za nic w świecie nie uściśnął by ręki szkolnego kolegi gdyby ten był stolarzem a całował po rękach żydów.

Nie myślcie panowie ażeby mój hrabia był postacią wyjątkową, mamy podostatkiem ojców przygotowujących mu godnych następców, mamy także młodych ludzi, którzy już stanęli na tej samej drodze, parę tylko zrobią jeszcze kroków a komedja będzie finita.— Straszna to rana społeczna, którą tu odkryłem, jej imię: „spaczone wychowanie.“ Łatwo można przypuścić że ofiary tylko co naszkicowane istniały, wykazy statystyczne obejmują ich daleko więcej jeszcze, czas nie wpływa na ich zmniejszenie, chociaż lekarstwo oddawna już znane nosi tytuł: „gruntowna pedagogja.“— Przypominam je zatem.



OPISANIE ZAMKU  
**KSIAŻĄT RADZIWIŁŁÓW**  
W BIAŁEJ.

Nikną z naszej ziemi dawne pomniki. Padły w gruzy zamki, które w swych murach królów widziały, albo gdzie mężne rycerstwo dawało odpór wrogom; a chciwa ręka dopomagając czasowi rozrywa resztę cegły i mieszkania bohaterów przerabia na browary i gorzelnie. Wandalizm w niszczeniu pamiątek coraz bardziej się rozszerza i wkrótce nic nie zostanie coby nam mogło przypomnieć przeszłość.

Świeży przykład tego mamy na zamku Bialskim, który przestał blisko trzy wieki i choć w ruinie istniałby jeszcze długo, gdyby nie wpadł w ręce niemieckie, które go rozebrały.

Wprawdzie historia zamku tego w zajmujące wypadki nie obfituje, żaden ważny dramat dziejowy w nim się nie odegrał, jednak szkoda go.

Założony został podobno przez Mikołaja Radziwiłła Sierotkę, lecz nie wiadomo z pewnością w którym roku, zdaje się jednak że za panowania Stefana Batorego.

O przejściu Białej w ręce Radziwiłłów jest takie podanie.

Mikołaj Sierotka wybierając się do Palestyny, z obawy aby w razie jego śmierci majątności nie dostały się dalekim krewnym, których nie lubił, zrobił układ z wojewodą Ililniczem, ówczesnym właścicielem Białej, że wrazie śmierci jednego z nich pozostały ma zabrać wszystkie majątki.

Radziwiłł szczęśliwie wróciwszy z pielgrzymki, obrócił swą drogę na Białę, chcąc powitać przyjaciela, lecz trafił na jego pogrzeb i podług zawartego układu stał się właścicielem pozostałych po nim majątków, a zniemi i Białej. Kraszewski jednakże w opisie tego miasta<sup>\*)</sup> nie wspomina o tem podaniu i utrzymuje że Biała dostała się Radziwiłłom nie po Ililniczach ale po Janie Kiszce z Ciechanowca kasztelanie

<sup>\*)</sup> Athenaeum. T. I. str; 70,

Wileńskim i Wojewodzie Brzeskim, pierwszy zaś z Kisków wziął ją w posagu za córką Jana Białego Hetmana Litewskiego zmarłego w roku 1498\*) który miał być założycielem tego miasta. To jednak pewne że zamek o którym mowa był założonym przez Księcia Sierotkę.

Był to gmach trzypiętrowy, którego główny korpus miał formę prostokąta mającego po wszystkich rogach baszty, od niego zaś ciągnęły się po obu stronach długie galerje zakończone również wieżami. Od galeryi z prawej strony szły oficyny nie przedstawiające pod względem architektury nic ciekawego, dziś wyrestaurowane, gdyż w nich mieszka administracja dóbr Bialskich. Za basztą z lewej strony znajduje się kaplica, także nie osobliwej architektury, w której spoczywały zwłoki Józefata Kuncewicza do r. 1747\*\*)

Zamek cały otoczony wałem i fossą zasilałą dawniej wodą z rzeki Krzny, która tuż za zamkiem przepływa; na dziedzińcu wjeżdżało się przez ciemną bramę, na której stała wieża z zegarem, wysoka na 52 łokcie. Wieża i dwie oficyny stojące obok niej, już dawno były zajęte na więzienie i koszary, przy bramie zaś rozkopano wał i zrobiono wjazd.

(\*) Niesiecki. T. III. str. 522.

(\*\*) Florjan Jaroszewicz. Matka SS. str. 462.

Zegar zepsuty, choć jeszcze w r. 1861 sły-  
 szalem go bijącego, fossy zarosły i wyschły,  
 a część wału przy rzece została zerwaną skut-  
 kiem wylewu.

Wtenczas to Zamek Biański był w lepszym  
 jeszcze stanie, niż przed samem rozebraniem  
 gdyż już w ostatnich czasach był bardzo znisz-  
 czony, jednakże zawsze można jeszcze było wy-  
 restaurować dwa piętra i zdaje się, że one wię-  
 ciej na zachowanie i restaurację zasługiwały, niż  
 kapliczka i oficyny stojące za zamkiem nad  
 rzeczką.

Narozne baszty, niby restaurowane, wytyn-  
 kowano, dach pobito blachą, a znajdujące się  
 pod dachem sztukaterje gipsowe zamalowano  
 wapnem i wybito w ich miejsce okienka i to się  
 nazywa odnowieniem!

Zwiedzałem dawniej często ten zamek,  
 znałem też dobrze każdy jego zakątek jedna-  
 kże już nie było owój groty muszlowej;  
 i fontanny o których wspomina Kraszewski\*)  
 z dawnego ogrodu było zachowanych tylko pa-  
 rę szpalerów, sale stały pustkami, tylko parę  
 marmurów ze ścian wałało się po nich.

(\*) Athenaeum. T. I. str. 75.



Najlepiej zachowaną była sala rycerska ze ślicznymi sztukaterjami na suficie i ścianach, które zniszczono przy rozbieraniu.

Rysunek jej pomieszczono przy opisie Białej przez K. W. Wójcickiego\*) chociaż nie było już marmurowej posadzki wystawionej na tym rysunku, zwierciadła zaś ze ścian dziś ozdabiają mieszkania administratorów.

W zamku tym umarł ów tyle głośny w ostatnich dziejach naszych wojewoda Wileński, Karol Radziwił zwany „Panie kochanku”. Tu na parę dni przed śmiercią, miał mu się pokazać duch jego matki przepowiadając blizki koniec cierpień\*\*).

Wspomina także podanie, że w jeden dzień w roku o północy, na trzecim piętrze okna błyszczały światłem i w nich się ukazywał cień kobiety czeszącej swoje długie włosy; kto jednak ona była, milczy legenda, jak również, i otem, jaka przyczyna jej ukazywania się.

Mnóstwo krąży anegdot o księciu „Panie kochanku” nie mają one jednak związku z zamkiem Bialskim, który wyłącznie zamierzyłem opisać, wracam się więc do niego.

---

(\* Kłosy rok 1870.

(\*\*) Świat duchów. L. Rogalski.

Na pierwszym piętrze zamkowym był luft idący aż do podziemi, tam kończący się studnią; na trzecim zaś piętrze były ślady małego teatrzyku i wanna, w której, jak niesie podanie, jeden z Radziwiłłów kąpał się w winie.

Przy zamku Bialskim był również piękny zwierzyniec, tam gdzie dziś jest mieszkanie nadleśnego; teraz tylko dwie czy trzy sosny w tem miejscu stoi. Rzączyński\*) wspomina, że w nim chowano sześćset danieli, sto niedźwiedzi, sto dzików, trzysta sarn, dwieście jeleni, pięćdziesiąt wilków i dwieście zajęcy w osobnych do tego zagrodach. Tam również znajduje się zebro wieloryba, leży ono teraz w jednej z odnowionych wież. Kraszewski\*\*) wspomina, że za jego tam bytności było dwa i wisiały przed drzwiami kościoła farnego.

W tym zamku przyjmował Michał Radziwiłł króla Jana Kazimierza udającego się przeciw kozakom\*\*\*) w roku 1649.

W r. 1657 był spustoszony przez wojska Rakoczego idące pod Brześć Litewski. Drugi raz był podobno spustoszony\*\*\*\*) przez bandy

(\*) Hist. Natur. str. 232

(\*\*) Athenaeum str. 87

(\*\*\*) Jana Wawrzyńca Rudawskiego Historia Polska Rozdz. I. Athenaeum str. 86.

\*\*\*\*) W. Rudawskiego His: Pol: Ks. VIII Roz. 1.

rozbójnicze grasujące w tych lasach pod dowództwem niejakiego Czładki, data jednakże tego napadu nie wiadoma.

Roczniki klasztoru Bazyljańskiego wspominają także o walce stoczonj pod jego wałami pomiędzy nadwornem wojskiem książęcóm i kozakami jeszcze przed elekcją i bytnością Jana Kazimierza, lecz wiadomość ta nie ze wszystkim zasługuje na wiarę, gdyż Chmielnicki w Polsce najdalej był pod Zamościem a podjazdy jego nie mogłyby się tak daleko zapuszczać w kraj nieprzyjacielski; mogła to być właśnie ta walka z bandytami Czładki, których może kronikarz Bazyljański wziął za kozaków.

Zamek Biański był także ulubioną rezydencją księżnej Katarzyny z Sobieskich Radziwiłłowj siostry króla Jana, którj Biała najwięcej winna, ona bowiem odnowiła kościół farny, założyła klasztor sióstr miłosierdzia i podniosła szkoły sprowadzając profesorów z Krakowa\*) i ustanawiając fundusz na pewną liczbę ubogich uczniów\*\*).

(\*) Starowolski Ed: Daut 1652 p. 10 P. Biała ubi palatium ducem Radivilorum pulcherimum est, et num Gimnasium publicum erutum vocatis ex Academiae Cracoviensis magistris et profesoribus in omnibus disciplinis peritis.

(\*\*) Starowolski C. VIII. Et cum in Białensi Colonia certus numerus juventutis studiosae, sumptu Coloniae alendae et sustentandae per Fundatores est definitus ad eum conservandum per illustrem Directorem obligamus.

Drugą również znakomitą w swoim czasie niewiastą, która tu żyła i umarła była księżna Anna z Sanguszków Radziwiłłowa żona Karola Stanisława Kanclerza W. L. zmarła 1746 r. d. 23 Grudnia\*) Ona to zaczęła murować klasztor i kościół Bazyljanów; wspomagała siostry miłosierdzia, szkoły, zajmowała się również naukami i w zamku miała piękną bibliotekę. Dzieciniec zamkowy był zawsze pełen ubogich, którym udzielała wsparcie.

Tak więc zamek Bialski, który przetrwał tyle różnych kolei, opuszczony naprzód przez komisję Radziwiłłowską, która po śmierci księcia Dominika rozszarpywała majątki jego, nareszcie zburzony, znikł z powierzchni ziemi i tylko pozostało po nim wspomnienie. Celem odświeżenia tego wspomnienia wzięłem pióro do ręki i oto składam przed sąd łaskawych czytelników tę drobną pracę moją.

*J. Barwiński.*

(\*) Kazania pogrzebowe, Wilno r. 1750 druk Aka. z ryciną.

## SŁÓWKO

### O PEWNEGO RODZAJU PROLETARJACIE. (\*)

---

Nie ulega wątpliwości, że sami sobie tworzymy cele życia, i że jednym z najgłówniejszych celów jest osiągnięcie możliwego na ziemi szczęścia, które znowu w części zapewnia się przez dobrobyt materialny. Aby zaś dojść do dobrobytu lub utrzymać się przy zdobytem już dobrém stanowisku, trzeba koniecznie wziąć udział *w wyścigach społecznych*, jak mówi znakomity ekonomista. To, czego nie mam, muszę zdobywać krwawą i mozolną pracą; to zaś co posiadam, powinienem utrzymać przez usilną, wytrwałość w pracy, ciągłą baczność i oględność.

W wyścigach społecznych zwyciężają oczywiście najzdolniejsi i najwytrwalsi; reszta zwyciężona, musi się poddać losowi zgotowanemu przez brak sił albo

---

(\*) przedruk z Nr. 9 „Niwy“ za pozwoleniem Redakcyi.

odpowiednich warunków. — Ponieważ tych warunków stworzyć nie możemy, należy więc starać się wszelkimi sposobami aby je złagodzić, uczynić je jak najznośniejszemi. Temi właśnie zasadami kierują się ludzie, gdy skazani na twardą pracę, ograniczają się w wydatkach, odmawiają sobie tysiąca przyjemności i *powoli* dążą do polepszenia swego bytu. Lecz byt ten i jego rozwój, a raczej jego polepszenie, warunkują pewne prawa niezmienne, których gwałcenie powoduje upadek nieposłusznych im jednostek. Prawom podobnym podlega naturalnie i życie ekonomiczne jednostek i narodów. — Wśród prawideł ekonomicznych nie poślednie zajmuje miejsce prawo zaofiarowania i żądania. Skutki tego prawa, najogólniej się wyrażając, sprawiają zniżanie lub podwyższanie się cen danego towaru, oraz jego dążenie ku miejscowościom lub dziedzinom, w których *towaru poszukują*. Pod nazwą zaś towaru — aby nie rozwijać szerzej przedmiotu — obejmujemy tutaj wszystko, co ma wartość ekonomiczną; takim towarem więc w znaczeniu przenośnym będzie i praca fizyczna i umysłowa. Prosta na pozor prawda, a ludzie nie zawsze uznają ją pragną. Znajomość wspomnionego prawa ekonomicznego uchroniła by nas od wielu błędów w życiu, od smutnych następstw. Wszyscy zdają się wiedzieć, że im więcej zboża na targu (zasada ogólna), tem ono tańsze; lecz nie wszyscy chcą zrozumieć, że im więcej ludzi ofiaruje swą pracę fizyczną lub umysłową, tem poszukujący tej pracy taniej nabywać ją będą.

Otóż zadanie nasze w tej chwili polega na zwróceniu uwagi ogólnej na częste u nas wyłamywanie z pod tego prawa.

Różnorodne przyczyny spowodowały, że przemysł i handel w błogiem u nas pozostawały uśpieniu.— O przemyśle marzyć nawet nie śmiano, handlem pogardzano. Że jednak między klasą oddającą się rozmaitym rzemiosłom a klasą posiadającą kapitały, istnieje jeszcze pewna klasa średnia, usiłująca swem życiem zbliżyć się do kapitalistów a unikająca pracy rzemieślniczej, — naturalną więc jest rzeczą, że ta klasa ludzi chwycić się musi jakiegokolwiek innego zajęcia. W narodach politycznie dojrzałych, ludzie podobni tworzą potężną klasę drobnych przemysłowców fabrykantów, *Ofycjalistów prywatnych* i t. d. U nas przemysłu w ścisłem słowa znaczeniu nie było. Cała więc falanga ludzi szukająca karyjery (!) dla swych dzieci, kształciła je na urzędników, i właściwie rzecz można, iż tylko urzędnicy stanowili u nas przez długi czas jaką taką klasę średnią. Że to było zgubnem pod wielą względami, o tem wszyscy mieliśmy sposobność przekonać się nie raz. — Młodzieniec zamożnych nawet rodziców po *przesunięciu się* przez gimnazjum, nie widział prawie nigdy świetniejszego dla siebie losu, jak rozpoczęcie aplikacyi od urzędu kancelisty. Ztąd poszło że wielka zjawiła się liczba wzdychających do posad rządowych, a miejsca dla nich nie było. Jako łaskę uważano przyjęcie kogoś na bezpłatną aplikacyją. Ale i zwiększenie liczby urzędników nie usunęło coraz bardziej mnożących się kandydatów na posady rządowe. Łatwo pojąć, że gdy urzędników był nadmiar, ich wynagrodzenie nie mogło być sowitem, a skutki pensyi nie wystarczającej na utrzymanie rodziny, srodze publice dawały się we znaki. Z drugiej strony, ponieważ

w biurach rządowych nikogo dawniej pracą nie przeciążano ludzie więc, zawsze skłonniejsi do próżniactwa aniżeli do mozolnych trudów, chętnie garnęli się do urzędów. Tymczasem wszystko leżało odłogiem. Po upływie atoli pewnego czasu, okoliczności zupełnie się zmieniły; powoli zaczęto zdążać ku lepszemu — gdy znowu nagły przewrót w stosunkach społecznych spowodował obalenie dawnego systemu i nowe wytworzył warunki. Te warunki uniemożliwiły na przyszłość *próżniactwo zyskowe*; kto chce żyć, musi pracować. Wstrząśnienie ogólne dotknęło naturalnie i klasę urzędniczą.

Wracamy do prawa, o którym wzmiankę uczyniliśmy na początku. Z powodu zmienionych okoliczności, daleko mniej dziś potrzeba urzędników aniżeli dawniej. Jakiegokolwiek są tego przyczyny, z faktem rachować się i do niego zastosować się trzeba. Mniej urzędników! To znaczy, że pewna liczba ludzi *powinna* koniecznie przestać myśleć o posadzie prezesów, wiceprezesów i innych godnościach, a w zamian za to zabrać się do roboty produkcyjnej, przynoszącej pożytek jednostkom i ogółowi. Skoro poszukiwanie urzędników jest znacznie mniejszem, natychmiast więc do innych gałęzi pracy społecznej rzucić się powinniśmy. Skoro mnie nie potrzebują w Warszawie, może moje zdolności zużytkują w Kaliszu; skoro jestem niepożyteczny w biurze, pójdę do fabryki; skoro ludzie nie potrzebują tak wiele butów, będę więc wyrabiał stoły, krzesła i inne rzeczy, o które popyt jest większy aniżeli żądanie butów. To prawo jest nieubłagane. A zresztą dla czegożbym do fabryki lub handlu pójść nie miał? Wprawdzie mój ojciec myślał inaczej, lecz był w błędzie; ten błąd naprawić moim



jest obowiązkiem. Dla czegoż mam się wstydić pracować wspólnie zpospolonym robotnikiem, jeżeli ta szlachetna praca daje godziwe zyski, przewyższające nawet pensyje średnich urzędników? I zastanawiam się dalej: jako urzędnikowi, trudno mi już oddawać się innym zajęciom; muszę się ograniczać na pensyi. Ta pensja wystarczyłaby jeszcze dla mnie samego, ale gdy przyjdzie żona, dzieci, — rozpacz nieraz ogarnia. Przesądny bowiem społeczne a poniekąd i okoliczności wymagają od urzędnika, by jako tako wychowywał swe dzieci, aby się przyzwoicie ubierał i żył, jak mówi gmin nasz, po ludzku. Tym czasem do owego *ludzkiego* życia potrzeba tyle przynajmniej posiadać dochodu, co trzy razy wzięte wynagrodzenie średniego urzędnika. Ztąd więc konieczne następstwo, że urzędnicy (niczem innym się nie zajmujący) przyczyniają się po części do powiększenia proletaryjatu a tem samem nędzy społecznej? że wogólności miernie wynagradzani, po zawiązaniu rodziny, prawdziwych tworzą żebraków. Unieszczęśliwiają więc i siebie i innych. A przecież czas wielki przekonać się, że prawdziwymi władcami świata są władcy ziemi i kapitałów. Na losy kraju ten tylko wpływać może, kto jest potężnym, a potężnymi są ci, w których ręku znajduje się ziemia, przemysł i handel. Zamiast powiększać liczbę ubogich przez niewłaściwe obieranie zawodu, nie pozwalajmy wywłaszczać się niemcom; sprawmy, aby handel nie był wyłącznem jednego wyznania zajęciem. Z ubolewaniem wobec tego patrzmy na ludzi dosyć zdolnych pozbawionych zajęcia. Dla czego? Bo nie świadomi praw rządzących społeczeństwem spokojnie się przyglądają, jak nietknięte u nas dziedziny pracy obcy dopiero uprawiać zaczynają. Gdybyśmy mieli odpowiednią liczbę ludzi wykształconych

specjalnie do jakiegokolwiek przemysłu, ileż kraj zyskałby na tem? Przypatrywaliśmy się życiutej młodzieży, pozabawionej wyższych pragnień, ograniczonej umysłowo. Iluż jednak z nich moglibyśmy mieć znacznych robotników fabrycznych, iluż dyrektorów i oficjalistów, gdyby ich wychowanie nie uczyniło niedołączkami z powołania?. Mogą nam zarzucić, że albo zbyt czarno rzeczy widzimy, albo nie uwzględniamy nie możliwości wykształcenia technicznego. Wodpowiedzi na zarzut pierwszy powołujemy się na świadectwo tych wszystkich, którzy mieli sposobność przypatrywać się średniemu życiu urzędniczemu. Ileż tam nędzy, jakaż czczość w głowach i żołądkach, ileż nieraz swarów wewnętrznych, powodowanych niedostatecznością środków wyżywienia! A spytajcie tego człowieka, czyby zamienił swój los gorzki na byt robotniczy? z dumą odpowie, że nie. Niedorzeczne pojmowanie godności pracy i jakaś idyiotyczna manija dygnitarska powoduje takipogląd na rzeczy.

Drugi zarzut polega na niemożności wykształcenia technicznego, przeszkadzającej młodzieży wyrobić się na specjalistów w przemyśle i handlu. Na to mamy odpowiedź krótką. Gdyby (a mówimy tu głównie o klasach mniej zamożnych) każda mama paniczyków, o których mowa; własne nosiła włosy zamiast kilkunastorublowego koka, gdyby ich papa zamiast cygar palił tytoń lub zupełnie palenia się wyrzekł; gdyby unikano tysiąca różnych wydatków, których robić nie wolno od chwili, w której się zaciągnęło obowiązki względem dzieci—gdyby to wszystko dało się urzeczywistnić, przekonałibyśmy się, że na dziesięć rodzin jedna przynajmniej zdołałaby wykształcić specjalnie młodzieńca chętnego do pracy. Bo za zaoszczędzone pieniądze możnaby do szkół posłać, albo też książki spro-

wadzić i praktykę u fabrykantów rozpocząć. Samo zresztą społeczeństwo winnoby i w tym kierunku jak w wielu innych nieść pomoc. Przecież znajdujemy pieniądze dla kształcenia skrzypków, fortepianistów, trębaczów i organistów; dla czegoż by ich nie było, gdy idzie o cele stokroć poważniejsze? Komuż nie krwawi się serce, gdy widzi w fabrykach naszych, dyrektorów niemieckich, gdy mu w handlach podają rachunek niemiecki, gdy go nie rzadko obca tylko spotyka mowa? Czemuż nie myślimy o czarnym chlebie zanim *będziemy mogli*, spożywać łakocie? Jak dla ubogiego niema żadnej zabawy, tak u nas rzeczy, ozdoby lub uprzyjemnienia życia wyłącznie dotyczące, nie powinny pierwszego zajmować miejsca. Albo utwórzmy prywatne szkoły techniczne, albo wysyłajmy z funduszków składkowych do zagranicznych zakładów. Czyńmy wreszcie jedno i drugie. Przeskód nie widzimy żadnych, bo przekonano się dzisiaj, że usilne staranie wieńczy najczęściej skutek pomyślny.

Zwracamy więc uwagę urzędniczych proletaryjuszów, że i dla nich droga pracy stoi otworem, że i oni z letargu do życia powołani być mogą, jeżeli zechcą uwzględnić, że nie próżniactwem i modlitwą lecz pracą, pracą usilną i wytrwałą, dochodzi się do osłodzenia żywota.—

## O SALONACH I ZABAWACH U NAS.

Po pracy odpoczynek, — to proste prawo, pewnik dla każdego zrozumiały; zarówno jak i ten drugi: że człowiek sam sobie wystarczyć nie może i w danym czasie odbierać musi pewną ilość wrażeń, której wielkość zależną jest od charakteru, wychowania i stopnia wykształcenia umysłowego.

Należy poznać społeczeństwo takim jakim ono jest w naturze, aby można mu służyć.—Ciągłe obcowanie z ludźmi budzi ochotę do pracy, zachęca do postępu, daje wreszcie wewnętrzne zadowolenie. Idzie tylko o to, aby takie obcowanie, nie zależnie od pracy przynosiło korzyść. Powinniśmy urządzać się w ten sposób, aby żaden czyn, żadna chwila nie była roztrwonioną daremnie; więc i czasu przeznaczonego na odpoczynek umiejętnie używać należy. Już oddawna społeczeństwa i ludy pojęły tę potrzebę jednostek i w rozmaity sposób starały się jej zadość uczynić. Tym sposobem powstały widowiska, teatru, koncerty i zabawy publiczne, z pomiędzy których wyraźnie odznaczają się zebrania towarzyskie—salony. Zastanówmy się szczególnie nad tym ostatnim rodzajem przepędzania czasu. Salony rozszerzyły się wszędzie i objęły w siebie wszystkie stany, wszystkie klasy ludności, jak to trafnie wyraził autor

„Prawdopodobnej historii” w następującym dwuwierszu:

„Jeden się salon w szynku jakimś mieści,

„Drugi resursa w swym objęciu pieści.“

Od góry do dołu, schodząc po stopniach drabiny społecznej, wszędzie spotkamy kółka towarzyskie, które różnią się może między sobą, niemniej jednak powstały z jednego i tego samego pierwiastkowego typu—salonu.

My pisząc artykuł swój dla klasy średniej, która nas tylko czytać będzie, pisząc przytem przeważnie dla gubernii Siedleckiej, uważamy za właściwe zastosować się głównie do miasta Siedlec i okolicy.

Mamy przed oczami najmniej parę setek salonów i ze dwa razy tyle zabaw w nich praktykowanych..... Lecz któż to dał nam prawo powiedzieć coś podobnego?, kilka setek zabaw?! to kłamstwo, rzuci nam w oczy pierwszy lepszy. Pardon, mój panie, nie powiedzieliśmy rodzajów zabaw, a tylko po prostu zabaw. Cóż by było do życzenia gdyby taka panowała rozmaitość. My wprost chcieliśmy wyrazić przez to, że kilkaset razy na rok zdarzają się zabawy. Ale gdzie? w domach naszych urzędników lub obywateli. Ale jak? Dziwne pytanie! jak ci zagrają tak tańczuj, polkę to polkę, kadryla to kadryla. Dobrze, właśnie nam szło o to. Rzecz prosta jak pion, że pod zabawą pojmymy taniec. Cóż do życzenia? Przecież i..... dziki wzdycha do kankana! *A nasze damy*, które uważałyby za grzech śmiertelny pokazać się komu w rannym kaftaniku, na widok froterowanej posadzki i dźwięk melodyjnego Straussa, obnażają się do bawetu i pozwalają ścisnąć swą kibić pierwszemu lepszemu, byleby tylko poskakać. Nie mamy im tego za złe, bynajmniej, zabawę w swoim czasie dla czegoż mielibyśmy potępiać? lecz robimy nacisk na tę okoliczność, że u nas niema innej zabawy tylko jeden taniec,

który może podoba się kobietom i gołowąsym froteróm, lecz w każdym poważniejszym mężczyźnie budzi niesmak a nawet znudzenie; ale nam kością w gardle stają owe tańcujące bale z trzech albo czterech osób. Rozmowa na *balach* (!) naszych jest utopią. Nic więc dziwnego że dostać froterów ciężko, a o dobrych u nas nawet nie słyhać—wszystko zasila Warszawę.— Słyszeliśmy parę razy, narzekania gospodyń, prośby i najsoleńniejsze zaklęcia aby im sprowadzono *kilku do tańca*. A tu jak na złość, pobiela na młodzież, ucieka na billardy i przepychać się woli po knajpach. Długo ze wzgardą patrzyliśmy na tych knajpiarzy prowincjonalnych, sądząc, że samowolnie skoczyli w ten odmet, pozerający zdrowie i kieszeń;—teraz jednak; litujemy się nad nimi, widząc, że są ofiarą nieumiejętnego urzędnika salonów. Któż może wątpić nawet, że każdy młody człowiek choćby najmniej rozwinięty, wołałby zabawić się przyzwoicie w dobranem towarzystwie; nie narażając chudój portmonetki, niż w brudnym żydowskim szynku delektować się spirytusem?— Ale kiedy te salony zażądały od nich nóg tylko, do zabawiania lalek zwanych damami, nic im wzajem za to nie dając, nie dziwię się, że przy nizkiem wykształceniu i niemożności własnego zdania, czując instynktem tylko że to jest daremną stratą czasu, rzucili się do szynków. Przypuśćmy, że cały karnawał trzeba się bawić tańcem, czemu sprzyja nawet zimowa pora, ale co za satysfakcja urządzać coś podobnego w lecie? Pominąwszy wszystko, dajmy na to że znajdują się tak zawzięci amatorzy tańca, i w tem przelewaniu z pustego w próżne znajdują przyjemność, to i tak jest adwent, post wielki, gdzie kościół wzbrania tańców, co wtenczas zrobią?... Najformalniej nic.— Jeżeli zbierze się gdzie parę osób (co jest już rzadkością) przez pół godziny narzekają na błoto, kwan-

drans zajmie herbata i dwadzieścia minut ciekawa jaka ploteczka; ot i po wszystkim.

*Arystokracja* (!) partykularza proteguje bezika dla dam, a wista i preferansa dla mężczyzn. Sami *bawiący się* nie przestają ziewać i uskarżać się na nudy. Trochę niżej grają w mruczka lub budzą się aż do skutku, to jest dopóki na prawdę nie zasną. Oto i wszystkie zabawy nasze, oto co nam dają salony!

Kogóż nie zaboli stan obecny, wiedząc że może, że powinno być inaczej?... Aby nie zrobiono mi zarzutu że wytykać błędy łatwo, ale podać lekarstwo trudniej, wskazuję oto środki przemiany, poprawy, obecnego na lepsze.

Gdyby dajmy nato p. A. pewnego wieczoru wszedł do salonu swego i jako gospodarz, mający do tego prawo, opowiedział jaki artykuł z Niwy, Opiekuna Domoowego lub Przyrody i Przemysłu, a potem zapytał pierwszego lepszego co o tem myśli, przyjmując stronę umyślnie złą, wówczas posypały by się dowody i dySSERTacje; tych wniosków byłoby mało, może słabe, ale na drugi dzień już jaki taki z młodzieńców przeczytał by w tym przedmiocie cośkolwiek, zajrzał parę razy do Encyklopedji, inny uzbroidł by się w koncepcik, a gdyby tę rzecz umiejętnie przeprowadzono i damy otworzyłyby książkę.

Inną razą znów p. B. odznaczający się wymową i dobrą pamięcią, wypowiedziałby jaki poemacik, zapytano by się o autora, co to za jeden, kiedy żył, w jakim kierunku się kształcił, ot, i bardzo łatwo można zejść na pole pedagogii.

Pani C. jest muzykalną, gdyby poprowadzono rozmowę o tem co grać lubi, których kompozytorów przekłada nad innych..... a toż to rzecz tak zwyczajna i łatwa do wykonania, utrzymanie zajmującej a poważnej rozmowy?!

Nietylko o literaturze i muzyce mówi się w salonach p. AA. skończył fakultet prawny, możeby wprowadził jaką kwestję z Ekonomii. P. BB. jest doktorem, czemuż ani słowa nie mówi o higienie, czyż to jest kwestja nie właściwa dla salonu? chyba dla tego że p. BB. woli zatapiać usta w kieliszku. Niech i tak będzie, ale jeżeli p. BB. jest stracony, umarły moralnie, dla czegoż zachęca do śmierci innych? On jest przyjacielem! nie wiercie mu, to nieprzyjaciel, to wasz wróg najgorszy! nie wiercie jego doświadczonym zasadom, że ten tylko dużo znaczy i jest wielkim, kto puścił z dymem w szynkowni krocie; on zagrzałszy po uszy w błoto chce wszystkich widzieć w podobnym stanie; plujcie mu w oczy on i to w kieszeń schowa bylebyście mu towarzyszyli przy kieliszku. A ty panie X! arystokrato, co przeżuwasz dwieście paszkwilów i trzysta plotek dziennie, strawny masz żołądek i wytarte czoło głoszenia przedpotopowych tłustych konceptów, czy nie przestaniesz rozsiewać zepsucia, które cię trawi? Twój salon po którym się rozlegają głośną dobrze opłacaną muzykę twoje rynsztokowe koncepty, gorszy od karczmy. Czy nie zawstydzisz się swojego rzemieślniczego humoru, czy ci się nie sprzykrzy szynkowniany żargon? czy przestaniesz być despota zdań tych, których poisz szampanem, czy wolno będzie odezwać się u ciebie z niezbutwiałą myślą? zastanów się że stoisz nad grobem, że jesteś człowiekiem a nie wściekłym magotem!....

Otwórcie wszyscy drzwi waszych salonów dla prawdy, światła i postępowych idei—zechciejcie się w nich bawić zamiast ziewać, a puste wasze pokoje napełnią się ludźmi zdrowych zasad, pracy i czynu. Iluż to u nas młodych ludzi pokończyło uniwersyteta, iluż to innych o własnej sile stanęło jeszcze wyżej—a wszystkich tych nie wj-



dziecie na swych froterowanych posadzkach, bo.... litują się nad wami i niezazdroszczą waszych delicji. Ci wreszcie, co dziś po szynkowniach rzucają swoim zdrowiem i zdolnościami częstokroć, przyjdą do was, ale z innym usposobieniem i innymi manierami, bo przykład dobry wiele może a światło zawsze zwycięża. Lecz im później ta reakcja nastąpi, im dłużej zwlekać będziecie reorganizację salonów, tem więcej, przejrawszy, boleć nad swą nieudolnością będziecie. A więc do czynu póki jeszcze nie późno.

*K.*



# O TOWARZYSTWIE UBEZPIECZEŃ OD OGNI „**IMPERIAL.**”

W Siedlcach między innymi towarzystwami ubezpieczeń od ognia jest także agentura towarzystwa „Imperial“ powierzona p. Alexandrowi Rykowskiemu. (\*)

Wprowadzano i dotąd wprowadzają w błąd obywatele co do zasad jakimi się ta instytucja kieruje, dla tego mogę sumiennie donieść że towarzystwo to, było i jest najtaniej ubezpieczającym towarzystwem, i temu to głównie towarzystwu przynależy się zasługa że inne w obec rzetelnej konkurencji towarzystwa „Imperial“, poczuły konieczność obniżenia swych dotychczasowych taryff.

Towarzystwo „Imperial“ ma nad wszystkimi innymi koncesjowanemi towarzystwami tę niezaprzeczoną wyższość:

1<sup>o</sup> Że zawiązawszy nader korzystne stosunki reasekuracyjne z towarzystwami zagranicznymi, w krótkim

---

(\*) Tenże sam p. Rykowski jest także agentem Banku Dyskontowego i czynność swoją już rozpoczął.

czasie swych operacji w kraju naszym, osiągnęło w skutek pomienionych stosunków reasekuracyjnych znakomite korzyści dla ubezpieczonych: i tak w roku bieżącym, pomimo wielkich i nieprzewidzianych pożarów, dało 10% tytułem zwrotu asekurującym się u niego.

2<sup>o</sup> Posiada daleko tańsze kapitały, aniżeli wszelkie inne towarzystwa, gdyż wiadomo powszechnie że w Anglii zwykła stopa procentowa wynosi 3 do 4% gdy tymczasem u nas kapitał jest bezporównania droższym.

3<sup>o</sup> Koszta administracji towarzystwa „Imperial“ są doprowadzone do możliwie najskromniejszych wydatków.

4<sup>o</sup> Różniąc się w tej mierze w zupełności od innych towarzystw, agentura udziela najchętniej rad i uwag by ubezpieczenie najtaniej kosztowało.

5<sup>o</sup> Najważniejszą jest ta okoliczność, że towarzystwo „Imperial“ jest w wyjątkowej możności zadawalniania się  $\frac{1}{5}$  częścią tych zysków jakich inne towarzystwa ubezpieczeń wymagają i wymagać muszą.

Biorąc na uwagę te wszystkie okoliczności, musi być dla każdego jasnym, że przy ubezpieczaniu się w towarzystwie „Imperial“ przez pewien szereg lat, w których możliwe straty jednego roku, pokryte będą zyskami drugiego roku, a tem samem i stosowne obniżenie składek umożliwionem zostanie; musi więc być ubezpieczenie tańsze jak w każdym innym towarzystwie.

*S. M.*

## STATYSTYKA GUBERNII SIEDLECKIEJ.

---

Gubernija Siedlecka ma rozległości 249<sup>2</sup> mil kwadratowych i zamieszkuje ją 515850 mieszkańców.—

Podzieloną jest na dziewięć powiatów, a mianowicie:

1<sup>o</sup> Siedlecki miasto pow: Siedlce, ma rozl: 20<sup>7</sup> m. k.  
(lud: 53124.

2 <sup>o</sup> Węgrowski — Węgrów	— 22 <sup>8</sup>	—	52961.
3 <sup>o</sup> Sokołowski — Sokołów	— 21 <sup>7</sup>	—	49375.
4 <sup>o</sup> Konstantynowski—os: Janów	— 25 <sup>5</sup>	—	46869.
5 <sup>o</sup> Bialski — m. Biała	— 25 <sup>5</sup>	—	51149.
6 <sup>o</sup> Włodawski — Włodawa	— 38 <sup>4</sup>	—	61198.
7 <sup>o</sup> Radzyński — Radzyń	— 28 <sup>8</sup>	—	61432.
8 <sup>o</sup> Łukowski — Łuków	— 33 <sup>1</sup>	—	62521.
9 <sup>o</sup> Garwoliński — Garwolin	— 32 <sup>9</sup>	—	77218.

---

w ogóle — 249<sup>2</sup> — 515847.

Miast w gubernii tej 14, a mianowicie:

w powiecie Siedleckim 1<sup>o</sup> Siedlce 10000 mieszk:

w Węgrowskim 1<sup>o</sup> Węgrów 5000 mieszkańców.

w Sokołowskim 3. Sokołów 4150 m., Kossów 1065,

i Sterdyń 369.

w Bialskim 2, Biała 4000 m. i Terespol 2750 m.

w Włodawskim 2, Włodawa 6000 m. i Parczew 4000.

w Radzyńskim 2, Radzyń 2500 m. i Międzyrzec 9000.

w Łukowskim 1<sup>o</sup> Łuków 4900 m.

w Garwolińskim 2, Garwolin 2300 i Żelechów 4300.

Osad w gubernii 29 a mianowicie:

w pow: Siedleckim 2, Mokobody 1338 m. i Mordy 2170.

w Węgrowskim 3. Kamieńczyk 1094 m. Liw 1416 i Miedzna 1066 m.

w Konstantynowskim 4, Janów 2000 m. Kostantynów 1060 m. Łosice 2280 m.

w Bialskim 5. Kodeń 2450 m. Łomazy 2853. Piszczac 1510 Sarnaki 1000 m. Rososz 1775 m. i Sławatycze 2097. we Włodawskim 4, Horodyszcze 786 m. Orchówek 493 m. Ostrów 3000 m. i Wisznice 1670 m.

w Radzyńskim 1, Wochyń 2260 m.

w Łukowskim 5, A damów 858 Kock 3400 Łysobyki 1028 Serokoml a 532 i Stoczek 420 m.

w Garwolińskim 5, Łaskarzew 1490 m. Maciejowice 1408 Osieck 1614 Parysów 1678 i Steżyce 1171 m.

Wszystkich gmin w gubernii jest 154 z tych

w powiecie Siedleckim 18 a mianowicie:

Czuryły, Domanice, Jesionka, Jastrzębie, Królowa-Niwa, Krześlin, Mordy, Niwiski, Pióry Wielkie, Seroczyn, Skupie, Skurzec, Stara Wieś, Tarków Wielki, Wiszniew, Wodynie, Zbuczyn i Żeliszew.

w Węgrowskim 18 a mianowicie:

Borze, Czarnogłów, Grębków, Jaczew, Kamieńczyk, Korytnica, Łochów, Łojki, Równo, Płatkownica, Prostyń, Ruchna, Sadowno, Sinolęka, Stara wieś Stoczek, Wyszaków.

w Sokołowskim 13 a mianowicie:

Dembe nowe, Grochów, Jabłonna, Korczew, Kossów, Kudelczyn, Kowiesy, Olszew, Przedziatka, Repki, Sabnie,

Sterdyń, Wyrozemby.

w Konstantynowskim 16 a mianowicie:

Bochukały, Chlebczyn, Czuchleby, Gołowczyce, Husz-  
lew, Janów, Kornica, Łosice, Łysów, Olszanka, Pawłów-  
Przesmyki, Rokitno, Swory, Witulin, Zakanale.

w Bielskim 16 a mianowicie:

Dobryń, Huszcza, Kobylany Nadbużne, Kodeń, Kos-  
tomłoty, Kościeniewiczze, Lubienki, Łomazy, Międzyłęś  
Piszczac, Połoski, Rossosz, Sidorki, Sitnik, Sławatycze  
i Zabłóć.

we Włodawskim 15 a mianowicie:

Bytyń, Dębowa kłoda, Hańsk, Horodyszcze, Krzywo-  
wierzba, Opole, Ostrów, Romanów, Sobibór, Turna, Tyś-  
mienica, Uścimów, Włodawa, Wola wereszczyńska, Wiryki.

w Radzyńskim 15 a mianowicie:

Biała, Brzozowy kąt, Jabłoń, Kąkolewnica, Lisia-  
wólka, Milanów, Misie, Siemień, Sitno, Suchowola, Szostka,  
Tłuściec, Zagajki, Żeliszew i Żerocin.

w Łukowskim 23 a mianowicie:

Białobrzegi, Celiny, Dąbie, Gołębki, Gułów, Jaku-  
sze, Jarczew, Kock, Krasuse, Łuków, Łysobyki, Miastków,  
Mysłów, Prawda, Radoryż, Ryżki, Serokomla, Skrzyszew,  
Stonin, Trzebieszów, Tuchowicz, Ulan i Wojcieszków.

w Garwolińskim 20 a mianowicie:

Kłoczew, Korycka wola, Łaskarzew, Maciejowice,  
Osieck, Pawłowice, Podlęź, Ruda Talubska, Rzonka, Ryki,  
Sobienie, Jezioro, Sobolew, Trojanów, Ułęż, Unin, War-  
szawice, Wilga, Wola Rembkowska, Żelechów i Żyżyn.

## SPIS LEKARZY, WETERYNARZY I APTEKARZY

### W GUBERNII SIEDLECKIEJ.

#### POWIAT SIEDLECKI.

##### LEKARZE.

1. Zawadzki Żelisław.
2. Korabiewicz Michał.
3. Strzelbicki Stefan Dr. Med: i Chir:
4. Łada Bazyli.
5. Chamski Władysław Dr. Med: i Chir:
6. Czopowski Antoni.

##### WETERYNARZE.

1. Bochm Teofil.

##### APTEKARZE.

1. Pauli Karol Assesor Farmacyi.
2. Więckowski Antoni. Prow:

#### POWIAT WĘGROWSKI.

##### LEKARZE.

1. Borysiewicz Jan.
2. Wyszomierski Karol.
3. Stanczykiewicz Godziszław.
4. Choryn Franciszek.

##### WETERYNARZ.

1. Bittner Alexander — tenże w pow; Sokołowskim

## APTEKARZE.

1. Czerski Stanisław — prow: zarządzający apteką SS-rów Smorągiewicza.

## POWIAT SOKOŁOWSKI.

## LEKARZE.

1. Gąsiorowski Józef — (m. Sokołów)
2. Maleszewski Antoni — ( dto. )
3. Dziobkowski Jan — ( dto. )
4. Czerski Władysław Jan — ( dto. )
5. Rosicki Sebastjan — ( w Sterdynie. )

## APTEKARZ.

1. Wroński Juljan.

## POWIAT KONSTANTYNOWSKI.

## LEKARZE.

1. Maleszewski Wiktor — (osada Janów.)
2. Ziencina Franciszek — (osada Łosice.)

## WETERYNARZE.

1. Arndt Paweł mag. weteryn: (Wygoda)
2. Szypowałów Paweł — ( dto. )

## APTEKARZE.

1. Karo Ferdynand — (osada Łosice)
2. Rit Aleksander — (osada Janów)

## POWIAT BIALSKI.

## LEKARZE.

1. Bystrzycki Józef — (os. Sławatycze)
2. Wąsowicz Mikołaj — (Biała)
3. Przygodzki Jakób — (Terespol)
4. Chebda Stefan — ( dto. )
5. Dalecki Felix — ( dto. )



## WETERYNARZE.

1. Trippenbach Alexander — (Terespol)
2. Sobolewski Juljan — (Biała)
3. Hoiszewski Jan — (Biała)

## APTEKARZE.

1. Kobyliński Jan — (Terespol)
2. Ostrowski Teodor — (Biała)
3. Szląskowski Józef — (Sławatycze)

## POWIAT WŁODAWSKI.

## LEKARZE.

1. Smorzewski Konstanty — (Włodawa)
2. Wierzbicki Andrzej — (Parczew)

## WETERYNARZE.

1. Bednarski Aleksander — (Włodawa)
2. Jurewicz Antoni — (dito.)

## APTEKARZE.

1. Pisarzewski Stanisław — (Włodawa)
2. Nowakowski Michał — (Parczew)
3. Kamiński Klemens — (Ostrów)

## POWIAT RADZYŃSKI.

## LEKARZE.

1. Wolff Michał — (Międzyrzec)
2. Gerlach Silwin — (Radzyń)
3. Stano Henryk — (Międzyrzec)
4. Pilawski Stanisław — (Radzyń)

## WETERYNARZ.

1. Hanusz Andrzej — [Radzyń]

## APTEKARZE.

1. Grabowiecki Antoni — (Międzyrzec)
2. Ejchler Edward — (Międzyrzec)
3. Nowiński Paweł — [Radzyń]

## POWIAT ŁUKOWSKI.

## LEKARZE.

1. Zaboklicki Antoni — (Łuków)
2. Koisiewicz Jan — (Kock)
3. Kisielewski Adolf — [Kock]
4. Rządkowski Michał — (Łuków)

## WETERYNARZ.

1. Wolfram Władysław — (Łuków)

## APTEKARZE.

1. Nowiński Jakób — (Łuków)
2. Sadkowski Piotr — (Kock)

## POWIAT GARWOLIŃSKI.

## LEKARZE.

1. Michałowski Antoni — (Żelechów)
2. Rafalski Franciszek — [Maciejowice]
3. Nowak Józef — (Garwolin)
4. Jachołkowski Piotr — (dto.)
5. Suliński Józef — (Żelechów)
6. Pleszczyński Józef — (dto.)

## WETERYNARZ. 1

1. Łuniewski Antoni — (Garwolin)

## APTEKARZE.

1. Koperyński Michał — (Garwolin)
2. Rit Konstanty — (Żelechów)





**Cena kop: 30.**







N.P.I. 685

1873